TEOFIL LENARTOWICZ.

POEZYE.

Wydanie pośmiertne.

II.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.
przy placu Katedralnym
1895.

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ WE LWOWIE.

Część pierwsza.

OSTATNIA LIRENKA.

JAGODA.

Bratu A. Gillerowi

posyłając poemat Jagodę.

Jeśli twa do ojczyzny wraca myśl stęskniona,
Kiedy samotność serce kamieniem przyciska,
Jeśli szuka przyjaciół, rodzinnego łona,
A choćby gościnnego rodaków ogniska:
Pójdź, bracie, do prostaków, kędy słów nie wiele,
Spokojne oczy starców, śmiałe wzroki młode;
Przejdź tylko siódmą górę i dziewiątą wodę,
A chałupa wnet będzie — dym się po niej ściele,
Brzoza biała wybiegła, jak siostra na drogę,
I krzyż, co ubożuchny szepce wciąż: pomogę.

Wieśniacze to obejście... bo ja chłop, mój bracie,
Szczery albo nieszczery, sądźcie sam — jak znacie.
Ojczyzna wciąż mi pachnie, pociągniemy do niéj,
Będzie coś, bo mi ciągle w prawem uchu dzwoni.
Tymczasem niech cię bawi moja panna dzika,
Ta z lasów mazowieckich biedna borowika,

Której grzeszna pokusa nigdy się nie imie,
Wiatr jej główkę ubiera, oczy czyści w dymie.
A kiedy się zasłucha we świat nam nieznany,
Oczy na nią wypatrzysz jak oczarowany.
Bo ona Polskę widzi tam, gdzie ta się rodzi,
I mówi, że Pan Jezus za kolebką chodzi,
A Marya z Józefem na nowe Polaki
Jako słoneczne pasma składa powijaki.
Trwogi ta nie rozumie i co jest niełaska;
Kądziółkę tylko swoją założy do paska,
Rańtuszek swej roboty na skroń sobie zsunie,
A choć tam i wiatr będzie i deszcz bujny lunie,
Nic jej przeto... słoneczko jak ptaszka z pod strzeszek
Zobaczy ją swobodną, jej wdzięczny uśmieszek,
Więc i liczko osuszy i łapki bosaka.
Takiego ci posyłam na nowy rok ptaka.

Dalej więc, dziewcze moje, a spraw mi się gładko;
Bo gdybyś pochmurzyła lice mego brata,
Dziewczyno mazowiecka, oskarżę przed matką,
Że mi jej jedynaczka próżno tylko lata,
I zamiast cieszyć ludzi jeszcze ich pochmurza;
Niech więc siedzi z gąskami wiejskiego podwórza,
Len czesze, kwiatki sieje i niech się posroma,
Że śmiała iść do panów poziomka pozioma.

JAGODA.

Gustawowi Zielińskiemu, wieszczowi polskiemu,

wygrana na fujarce wierzbowej.

. . . nic w świecie nie może mnie więcej uspokoić, jak widok stworzenia poczciwego, jak ta dziewczyna, przebiegającego z pogodą szczupłe koło swojego bytu, całe w chwili obecnej, i która patrząc na spadające liście, nie przywiązuje do tego żadnej innej myśli jak tę, że się zima przybliża. *Goethe.*

Gdzie się zwrócę z mą żałobą,
Gdzie się serce uspokoi?
Życia mego ty ozdobo,
Gdzieżeś, ptaszku, duszy mojéj?
Las szerokim liściem chwieje,
Obłok ciecze po błękicie,
Strumień, jak się lał, tak leje,
A gdzie moje młode życie?...

I.

Szara jesień, głuche pole...
Jeśliś smutny a masz wolę,
To na długie spiesz rozmowy
Z suchym ostem i piołunem,

Lub z obłokiem krwawo-łunym,
Co przepędza nad twe głowy,
Jakby niosąc w Bożą stronę
Ludzkie serce pokrwawione.

Wieczorami u wód brzega
Coraz gęstsza mgła zalega,
Rozpościera białe dymy,
Jak zapowiedź bliskiej zimy:
Listek jeden, drugi, trzeci,
Od topoli kapnie, zleci...

Niewidzialny nad doliną,
Ony dziwny pająk boży,
Świat obciąga pajęczyną,
Aż zimowy sen go zmorzy
W srebrnych nitek upowiciu;
Było życie i po życiu. —

Co miłego, krótko gości,
Szczęście prędko się wyprzędzie...
Tak bywało w mej młodości.
Tak jest dziś i jutro będzie.

Szczęście gdzie?... na łonie matek,
Aż do sześciu, ośmiu latek.

Życie bez trosk, bez boleści,
Bardzoż długo?... aż do sześci...

Urodziło nam się dziecko
Pode strzechą mazowiecką,
Urodziło się, bo miało,
Bo tak było przeznaczone,
Popłakało, popatrzało
Na tę stronę i tę stronę.

Podano je matce młodéj,
A zaś dzieciom powiedziano:
Że je przyniósł bocian z wody,
Rano, rano, bardzo rano...
Stary bocian, co ku dniowi
Chodzi, chodzi, dzieci łowi.

Powitało się ze światem,
Z matką, z ojcem, z siostrą, z bratem
I z kolebką czyli niecką,
Pod tą strzechą mazowiecką.

Gdy zasnęło, siostra mała
Rozmyślała, rozmyślała,
Rozważała tajemnicę,
Zapadając w dumy długie...
Jak polecieć nad krynicę,

Żeby złapać takie drugie,
Zanim bocian ją uprzedzi,
Co na chacie przez noc siedzi. —

Patrzy, radość w oku błyska,
Co w kochanem sercu gości...
Chałupeczka wiejska, niska,
Co radości, co radości...
Poszumiają zboża łany,
Kłosy się pod kosy proszą;
Jakie dobre te bociany,
Co latają, dzieci noszą,
Po błękitach jasnych nieba.
Zastanowić się potrzeba...

Wszystko to mnie Wiochna mała
Powiadała siostra miła,
Która bardzo mnie kochała,
Ach! i bardzo namęczyła...
A to zawsze z tej przyczyny:
By wywołać śmiech dzieciny;
I z jej ust powiastkę nową
Przepowiadam słowo w słowo.

Siedzę — mówi — nucę, nucę,
A coś szepcze... jakie ładne...

To się wejrzę, to się rzucę,
Z pocałunkiem doń przypadnę,
Raz się śmieje, raz zakwili,
W białej czapce tylki, tyli...

To je biorę, to je kładę,
Aż i pies się nie cierpliwi,
Wszystkiemu się dziecko krzywi,
Lecz huśtaniu bardzo rade...

Potem patrzę, głowę chylę...
— Miejże rozum choć na chwilę.
Zamyślę się nad pustotą,
Cisza — a coś pacierz gada,
Światło drzy jak przez rzeszoto,
Rosa pada, gwiazda spada.
Promień się do chaty wkrada
Jasny, chłodny, próg przebywa,
Stół pośrebrza, w wodzie pływa;
Nocka cicha, taka cicha,
A pierś, nie wie, czemu wzdycha...

Dusza w dziecku jakby gwiazdka,
Młoda, zadumana prządko,
Dobrze zapatrz się w dzieciątko,
Toć piosenka, to powiastka,

To kocanek, to pocieszka,
Wejrzyj jeno, gdzie Bóg mieszka. —

W wielkie oczy patrz dziecięce,
Coś to dziecię wie i nie wie...
Kto mu śpiewa: pójdź na ręce?...
Uśmiech, gwiazda, śpiew po śpiewie,
Bacznie przypatrz się iskierce
I promieniom złotej kosy,
W piersiach jasność a nie serce,
A promienie ma za włosy,
Liliowym wodzi kwiatem,
Gwiazdy błyszczą z szaty długiej;
Nocka letnia w takiej drugiej
Cicho płynie po nad światem. —
Brzeg tej szaty złotem szyty,
Jak drugiego świata świty.

Skrzydeł dwoje postać biała
W uroczystej chwili składa,
Kiedy matka krzyknie... biada!
A tam w górze krzykną... chwała!

Wtedy on te pióra zwiesza,
W których siedem barw się miesza,
I dzieciątko chłodno-czoło
Jak kwiat bierze w złotą połę,

Lilię, stokroć, czy bławatek,
Cały w rosach... od łez matek. —

On je uczy swych przymiotów,
Słów nieznanych, nawet lotów.
Na co to, a drugie na co,
I dziatki z nim same głużą;
Lecz gdy boską mowę tracą,
W ludzkiej tego nie powtórzą.
Pokąd słów nie pozna dziecie,
Mówi jak na tamtym świecie.

Później, ale to już we sny,
Jak ów, co chrzcielnicy strzeże,
Ten niebieski ojciec chrzestny,
Widząc, że weń wzroki szerzę,
I po chwili jakąś chmurką
Przyodziany płaczem jęknę,
Zdał się pytać *co chcę?*... — piórko,
— Piórko chcę, bo takie piękne,
To niebieskie i to srebrne...
— Na coć piórka? — Mnie potrzebne...
— Takie piórko, bratku, ciebie
Nie zbogaci a zuboży,
Będziesz latał wciąż po niebie,
A któż wołki w pług założy,

A kto gąski z pola zgoni?
A ja z śmiechem mówię — *oni.*
Zatem spojrzał się tak błogo,
Jak nikt w świecie na nikogo...

Upraszałem nadaremnie...
Ani słówkiem nie zagada,
Tylko coś już w samym we mnie
Rozpościera się, rozkłada,
Jedno srebrne, drugie złote,
I coś brzmi: *nie dla pokazki,* —
Darujcież mi mą prostotę,
Dopraszam się pańskiej łaski. —

Pismo jakoś nie szło w głowę,
Takie małe te litery,
A uczyły mnie wciąż szmery
I łzy sosen bursztynowe.
Gdzie tam poznasz co nad kartą,
Dzień sierocy więcej warty,
Kiedy w duszę twą otwartą
Wchodzi cały świat otwarty.

Sieją maki... a na ciszę
Ani wiem, jak sam się zdaję,
Jakieś wszystkie głosy słyszę,
Jakieś wszystkie widzę kraje,

Jak daleko wzrok zabieży —
Aż po sosny rosochate,
Aż po wzgórze, aż do wieży,
Aż po chatę i za chatę,
Aż po brzózki białe, młode,
Aż po wodę i za wodę.

I drżę cały szczęściem takiem,
Kwiatów drzeniem i szelestem,
Jestem dzieckiem, jestem ptakiem,
Jestem niczem i czemś jestem,
Co się samo z siebie świeci,
Zachwyca się i w świat leci...

Albo chętka ze dnia końcem,
Żeby lecieć w świat za słońcem...
Jak tam zajdzie za te wzgórki,
To ja będę na tych wzgórkach,
Potem z górki na pazurki
Po krzemieniach, po przeórkach...

Bo dlaczego słońce znika,
Czy jest lepsza ziemia jaka?...
Zorze grają, jak muzyka
Jakaś smutna, jakaś taka...

Co raz kogoś śmierć zabierze,
O pogrzebach ludzie plotą,
A ja we śmierć nic nie wierzę,
I powtarzam swoje: co to?...
Śmierć przychodzi na sąsiady,
Sówka grozi starej chatce,
Ale mnie ta nie da rady,
Ani siostrze, ani matce;
I tak byłem pewny swego,
Bo dlaczego? no — dlaczego?

Cicha strono — Wiochno, matko,
Wymieciony świat do czysta,
Krzyże gęsto, chaty rzadko,
Ach! ach! jasność wiekuista...
Dołem myśli, dołem, dołem...
Czołem duszo, czołem, czołem...

A taz w dziecku chęć do skoków,
Owe szczęsne igry żacze...
I uśmiechy do obłoków,
Samo życie w niebo skacze. —
Niechże cień, najlżejsze brzemię,
Już pacholę stroi dudki;
Radość w niebo, smutek w ziemię,
Oj! pod ziemię ciągną smutki. —

Lecz by wiedzieć, trzeba na to
Skończyć swoje piękne lato,
Bo dla wiosny, wszystko w wiośnie...
Człek urośnie, jak porośnie,
Pod mogiłą w polu dzikiem,
Po rozejściu rozchodnikiem...

Czas ucieka, życie z czasem,
Szach, szach, każdy dzionek krótki...
Ni tak flisy rzecznym pasem,
Ni wiślane pędzą łódki...
W mig, jak gdybyś trzasnął biczem,
Co czemś było, jużci niczem.

Świat przewalił się — ćmy, mary,
Próby złej i dobrej doli,
Sam bym sobie nie dał wiary,
Gdyby nie to coś, co boli...

Przeszedł wiek szczęśliwy, złoty,
Łzy polały się stokrotnie,
I tak było mi samotnie,
Żem aż wysechł od tęsknoty;
A czyż na to niema zioła?
Więc znalazło się przypadkiem,
Nieszukane, Bóg mi świadkiem;

Raz z wiaderkiem wyszło z sioła,
Jak poranek śliczna, młoda,
Nazywała się *Jagoda*.

Z tej Jagody starszym bratem
Wędrowałem borem, lasem,
Przymierając głodu czasem;
Przepadł... co tam komu na tem,
Zatułany w obce strony...
Deszcze nad nim zapłakały,
Wichry nad nim zaśpiewały,
Pochowały kruki, wrony.

A Jagoda, ta sierotka,
Bez rodzica, bez rodzicy,
Pomagała komornicy
U udoju, kołowrotka.
Trzy dni za nią w polu piele,
Na nią czeka po kościele;
I nie tęskni, nie wspomina,
Że nikogo swego nie ma;
Od komina do komina,
Od terema do terema,
Nie oglądać się najlepiéj,
Bo się żałość serca czepi...
Czasem z kwiatu się wywinie,

Czasem z pieśni, co gdzieś ginie;
Z dżdżów jesiennych po nad lasem,
I z ludzkiego szczęścia czasem.

Od miłości kto się skryje,
Tak też to, jak od przypadku...
Coś ci w oczach się powije,
Jak, co, kiedy? — ani wiadku...
Powitała, popatrzała,
Po biednemu przyodziana,
I tak mnie się wydawała,
Jakby nigdy nie widziana.
Śliczna ona zawdy była,
Ale nigdy taka miła.

Szczęsny, kto na pędzlu zna się,
Malowałbym ciebie, ptaszku,
Złotym pędzlem na atłasie
I na samym adamaszku.
I tak dziewcze to nieśmiało
I patrzało, nie patrzało,
Aż od zdroju jakąś nótką
Jak zaciągnie w głuchą ciszę, —
Bardzo tego było krótko...
A ja dzisiaj jeszcze słyszę.
Coś tak przez nią zanuciło,

Coś takiego było w śpiewie,
Jakby człeka już nie było,
Albo jakby gdzieś — sam nie wie...

Jakby słońce, moja miła
Na mych oczach się odbiła;
Gdzie się zwrócę — wszędzie, wszędzie
Złote kółka latające;
Chcesz — czy nie chcesz, będzie słońce,
Chcesz — czy nie chcesz, słońce będzie.

Jak przypadnie zakochanie,
To na wieki pozostanie.

Czas w miłości leci sporo,
Strasznie prędko dni się wiją:
Wiedziałem ja, że się biorą
I że z sobą potem żyją.

Więcem się raz spojrzał po niéj...
A ta — ty mnie nie chcesz pono...
I tak ślicznie się zapłoni
Szyjka, uszko, na czerwono...

Ale my wciąż byli z dala,
Coś ciągnęło i zdzierżało,
Coś, co gasi i podpala,
I dość szepce i zamało.

Coś mówiło przez nią skromnie,
To, co łączy i co grodzi,
Że aż nie raz przeszło po mnie:
Czy się tego dotknąć godzi...

A tak biedna sama jedna
Była moja ta jedyna,
Jedna na niej sukienczyna
I koszulka pono jedna.
Ale choćby i bez tego
Czy ubóstwo to co złego?
Zechce mieć trzewiczki złote,
To ja pójdę na robotę.

Raz wieczorem, kiedy sioło
Mgła opadła podksiężyczna,
Lasy drzemią, pachnie zioło
I powstaje zorza mléczna
I dym ciągnie po ustroni,
A do serca serce bieży,
Przyszła jakby przeciąg świeży,
Kiedym sobie myślał o niéj;
Przybliżyła się i patrzy...
I tak śliczną główkę chyli;
Czyż był kiedy kto bogatszy,
Jak ja biedny w onej chwili?...

Miesiąc świecił, cichuteńko,
Wioska w mgle, jak niebo w niebie,
Smutki jakbyś odjął ręką.
— Czy ja pewno widzę ciebie...
A toć przemów — Miast przemowy
Uśmiech przeszedł ją najszczerszy,
A ja byłem jakiś nowy,
Jakbym przejrzał po raz pierwszy;
I zapatrzon za tem dziwem,
Był i żywym i nie żywym.

Coś się we mnie przemieniało,
Przechodziło krew i kości,
Coś ciągnęło, coś mnie rwało,
Jakiś wielki krzyk radości;
Wyciągnąłem ramion dwoje
I w jej padłem, ona w moje. —
Długo trwały te uściski?...
Jedna chwilka z biednym biednej,
Lecz do grobu od kołyski
Dosyć takiej chwilki jednej. —

Luba, słyszysz serca bicie,
Bicie serca moje, twoje?
Życie moje, twoje życie,
Boisz się i ja się boję;

Ot tak, daj mi rączkę tylko,
Czego płaczesz, moja droga?
Wszakże śmiałaś się przed chwilką?
— Mój jedyny, bój się Boga.
— I boję się i bać będę,
A ty kochaj i bądź stałą.
Więc znów dziewczę pokazało
Śliczne ząbki perłorzędę,
I pochyla się z całunkiem;
Ach! któż radość tę wypowie,
Trunek słodki — takim trunkiem
Zakochanych pijmy zdrowie.

Niechaj żyje miłość szczera!
Lica płoną, serce bije,
Kto nie kocha — wciąż umiera,
A kto kocha — ten wciąż żyje.
Na ubogą jej sukienkę,
Na staniczek, na ramiona
Opuściłem drżącą rękę,
Pochyliła piersi ona.

Róż Połosia miała dużo
Siostra moja na ogrodzie,
Ale co te przy Jagodzie —
Nie obejrzeć się za różą...

Noc ta cicha śni się czasem:
Miesiąc w pełni, dym nad lasem;
Tylko ptaszek mojej pieśni,
Ona mi się nigdy nie śni.

Raz mi tylko nocną dobą —
Przypominam — prawda — sobie,
Powiedziała: jestem w tobie,
Więc nie mogę być przed tobą.
Puść mnie z duszy w moją drogę
I z pamięci, co mnie trzyma,
To ci stanę przed oczyma.
— A ja nie chcę, bo nie mogę...

Noc miłości, czar jej liczek
I szmer liści i brzęk zdroja,
Po serc strunie puszczam smyczek,
Hulaj! hulaj! duszo moja!...

II.

I znów stali my we dwoje
Po za wioską, zapatrzeni,
Ja w jej oczy, ona w moje,
Jakby wody dwóch strumieni,
Co kiedy się zlecą w lecie
Ode źródeł jasne obie,

Po dalekim świecą świecie,
Nie wiedzący nic o sobie. —

Niby w miejscu gdzieś wybranem
Na chałupę, na ubogą,
A tu łąka bucha sianem,
A tu wóz się toczy drogą,
Pośród drzew zielonych wianka,
Wieje świeża woń poranka. —

Wszystko piękne, co zobaczę,
Ani na to niema słowa,
Świerszczyk, co ci z pod nóg skacze,
I ta żabka podeszczowa.
Tak się jakoś błogo żyje,
Tak zniewala coś do świata,
Kiedy kochasz, co tam brata —
Do serca byś garnął żmiję.
Wszystko odda choć z pod duszy,
Gdy miłuje ale szczerze,
Tylko niech mu tej nie bierze,
Tylko niech mu tej nie ruszy,
Co mu w oczach światem, niebem,
Polem, pracą, zbożem, chlebem,
Ciszą, szczęściem i zbawieniem;
Szczęście cień... niech będzie cieniem...

— Widzisz, Jagniu, jak na domki
Ptaki noszą piórka, słomki,
Taka pliszka, wróblik szary,
Wszędzie pary, wszędzie pary...
Patrz, jaskółka chyżolota
Jak się spieszy na te błota
I na gniazdek swych budynki
W dziobku niesie ździebko glinki.
Białe słońce światu świeci
Na błękicie na wysokim,
Jakby Bóg sam jasnem okiem
Na swe biedne patrzał dzieci.
To i na nas, moja miła,
Gdy ja biedny a ty mała. —
Czegoś oczki zadumała?
Czegoś rączki opuściła?

— Co tam pytasz mnie niebogę,
Ot bym chciała a nie mogę.
I zamyśla się tak w sobie,
Cóż ja mogę, co ja zrobię?
Całym skarbem biednej Jagni
Tylko serce, tylko ręce,
Ręce, serce ci poświęcę,
Ale więcej już nie pragnij.

— Mojaś, moja, ty uboga,
Czy to mi się śni czy nie śni?
Widzisz — jak ta ciągnie droga,
Słyszysz — jak te ciągną pieśni,
Tak i my podążym w życie,
A na miejscu stać nie możem;
Jutro, luba, tu o świcie
Na chateńkę głaz położym;
Na nim staną w cztery rzędy,
Pod sznur białe cztery ściany,
Tu gościniec murowany,
A nasz wiejski pójdzie tędy.
Tam się zgubi w polu steczka,
Jak ta sosna, jak ta rzeczka;
Tędy będzie Jagna mała
Swój dobytek przepędzała...

Więc spłonęła jak poranek —
I już nie miłości szałem
Ale niebem duszy całem
Zawołała: mój kochanek!
I tak ślicznie i tak skromnie
Sukmanki się mojej chwyta,
I owija się w koło mnie,
Jako powój kołem żyta.

— Kochasz, powiedz? — Nie odpowie,
Po usteczkach uśmiech goni,
Za odpowiedź serce dzwoni:
Niema słowa w ludzkiej mowie.

— Ot kukułka kuka w lesie,
Nowe lato zapowiada,
Wszystko składa się i gada,
— A ty rada? — Rada, rada...

I od śmiechu się zaniesie,
Od radości, że i onéj
Bóg na ziemi dał mieszkanko,
Swoje strony, gaj zielony,
Słoneczniki dwa pod ścianką,
Strumień, co się zdaje śnieniem,
Tak srebrzyście w świat się wije,
Jeśli tylko przyszłość cieniem
Tych piękności nie pokryje,
Nie pochmurzy marzeń wzgórki;
Więc zamyśla się i wzdycha.
Na radości smutek czycha,
Jako jastrząb na przepiórki.

III.

Mała Jagnia, bałamutka,
Poszła zamąż w łońskie lato,
Sypiać lubi — a noc krótka,
I kogutek już nad chatą
Niegodziwy na dzień pieje:
Wstawaj, Jagniu, do kądziele.
Więc się młoda przyodzieje,
Rzuci okiem po popiele,
A w popiele iskra tleje,
Jak w serduszku dobra wola;
Wietrzyk wieje — niechaj wieje,
Na zagrody i na pola.

Nie na popiół to ogniska
Pierwsze wzroki rzuca młoda,
Tu łóżeczko, tu kołyska,
Nad kołyskę piersi poda;
Chałupeczka taka niska,
Jaki człek -- taka zagroda,
A w chałupie święta zgoda,
Codzień ojciec matkę ściska;
A dziecina jak aniołek
Wybija się z pod pościołek,
Rączką chwyta nóżkę małą,
Bo mu się tak spodobało.

Rzeczywistość nie zawodzi,
A miłości tylko trzeba;
Jednakowo kółko chodzi
To prześlicy i to nieba:
Bóg owija nić o słońce.
I ta nić się życiem zowie,
I to kółko latające
Złotą nicią też odpowie:
Tak się ludzka wije praca,
Co uświęca i zbogaca.
Więc kogutek rano pieje:
Wstawaj, Jagniu, do kądzieli,
A dziecina wciąż się śmieje
Od niedzieli do niedzieli. —

— Na pocałuj, grają zorze,
Nasze dziecię, nasze, nasze...
Ach, jaki ja chłop, mój Boże!
Ramionami świat opaszę.
Dziecko śmieje się do oczu,
Moja garnie się do łona,
Nie zgorszy się na przezroczu
Złota gwiazdka roztoczona,
Ani Kurek, ani Burek,
Co przeciąga się ze spania;
We mgłach cały świat jak bania,

Ptak otrząsa odzież z piórek,
Rosy stoją, grają zorze,
Ach! jaki ja chłop, mój Boże...

Już to matki sprawa taka,
Że o dziecko wciąż się troska,
Gdyby anioł strzeże włoska
Od kołyski, powijaka.
Czuwa, nosi, pielęgnuje,
Całunkami kwiat miłości
Panu Bogu wycałuje
I wychucha i wyprości.
Aż ten owoc, z onej drzewa,
Rozwinie się i zaśpiewa,
Albo jak ptak w leśnej dziczy
Rozmacha się i zakrzyczy
Wierzchem miłej matki głowy:
Oto jestem człowiek nowy.

Przycisnęła, pochwyciła,
Mało dziecka nie zagniecie,
Zna swą siłę swoja siła,
Chichoce się małe dziecie;
Pełna śmiechu kmieca chata,
Kmieca chata nie bogata. —

Raz pod wieczór, w straszną słotę,
Że nie było dojrzeć wioski,
Nie w sobotę — bo w sobotę
Świeci słońce Matce Boskiéj, —
A choć pójdzie deszcz jak cewką,
Choć się niby chmury garną,
To z tej strony będzie czarno,
A zaś słońce naprzeciwko, —
Moja młoda mi powiada:
Jak to własna chata błoga,
Od poranku w polu pada,
A my siedzim jak u Boga.
Owca, krowa wie, gdzie leci,
Kiedy huczą wichry, gromy,
I na światło, co stąd świeci,
Ciągnie pielgrzym niewiadomy.
A ja na to — hej, Jagódko,
Nie budź złego, kiedy drzemie,
Szczęście, mówią, świeci krótko,
Bo oblatać musi ziemię
I pocieszać wszystkie biedy;
Wiemy, kiedy zawitało,
Lecz na wiele, czy na mało,
Kto tam w świecie zgadnie kiedy.

Ani chata, ni zamężcie
Nie obroni od przygody;
Na myśl pierwszą w duszy młodéj,
Że to może przyjść nieszczęście,
Roześmiała się nad głowy,
Jak majowy świt różowy.
Nąnieszczęście nie pozwolę,
Mój Jasieńku, mój sokole,
Mam ja taki sekret w słowie,
Że jak zechcę, to zamówię.

Kiedy nad dziewiczem czołem
Wianek się oplatał kołem,
Nazywałam cię — sokołem;
A kiedyś mnie zabrał całą,
Bo tak widać wszystkie muszą,
Nazywałam ciebie - - duszą,
Serce — sercem nazywało.
Sokoleńku — gwiazdo biała...
I cała się rozpłakała.

Chałupeczko moja niska,
Czy już cień na ciebie pada,
Moja nic nie odpowiada,
Tylko płacze i mnie ściska.
Przygarnąłem to do siebie,

Zapatrzyłem się oczyma
I myślałem, że nas niéma,
Jak mi miły Bóg na niebie.

Cisza wieśna, moje grzędy,
Moje wszystko oniemiało,
To i może tak się zdało:
Że przeleciał Anioł tędy,
Posiewając ciszą, makiem,
Cichym dworem, jasnym szlakiem,
A na sercu, na ogródku,
Jak po burzy i po smutku. —

IV.

Kiedym swą zbudował chatę
I tę moją wiódł do chaty,
Kiedym łatę kładł na łatę,
Zdały mi się złote łaty;
Bo mi Bóg dał tę Jagienkę,
Która miała szczęsną rękę.

Czego dotknie, co zamierzy,
Wszystko jej się ślicznie składa;
Innym w dzieży chleb opada,
A tej zaś ucieka z dzieży. —

Znajdzie, czego nie poszuka,
Jajko przejrzy, nigdy dzbuka.
Gąski siedzą po trzy, cztery,
Owdzie kurki, tam indyczki,
A chmiel wije się na tyczki;
Kwiatki rosną śród kwatery,
Piwonie, kwitną astry,
Miodu będzie na trzy misy,
Pszczoły biorą miód na plastry
Z ziół lawendy i melisy.
I żadna jej nie zaszkodzi,
Kiedy wpośród pszczółek chodzi, —
Jakby znały swoje swoją,
Pszczoły onej się nie boją.
I ona się bać nie będzie,
Choć na ręku jej usiędzie.
Niech się ćma ta zleci wszystka,
Miodu poda im na dłoni,
Nie opędza się, nie broni,
A te piją jakby z listka
Rozwitego świeżo głogu.
A gdy stanie z sitem w progu,
Lecą kwoczki jak do matki,
Te czubatki, nieczubatki,
Świat pierzaty i rogaty...
Bowiem żywi te dwa światy.

Niech pod wieczór, bez wołania
Cały ten się dwór przegania,
Gąski kroczą za swą paszą,
Wyciągają szyję, straszą.
A w miesięcznej noc pogody,
Z konopianej przędzy białéj
Płótna onej, niby wody
U potoku, błoń zalały. —
Skądże wody?... to nie wody,
A gosposi płótna młodéj.

A co na się nie nawdzieje,
Takie świeże, aż chłód wieje,
Jak od rosy i od śniegu
I od pola i pogody,
Jakby przyszła po noclegu
Z jaskółeczką na dnie wody.
Jak u dziecka chłodne lica,
I swobodna jak dziecinka,
Może ona topielica?
Może ona i Boginka?
Chociaż przejrzeć taka lekka,
Cała rzecz, że nie ucieka.

Na hulanie chętkę miała,
Lecz gdy rzekłem: — tego nie chcę,

Żebyś się do drugich śmiała,
Niechże cię już chęć nie łechce
Pod podeszwą; ślicznie, zgodnie
Powiedziała: no, to zgoda...
Za to jej się w białe dodnie,
Jakem wyrzekł, nosi woda:
Wstanie, to już stoi w kuble;
A na pracę — gdy dzień błyśnie
Gdy poskoczy, jak na wiśnię
Zwołują się na nią wróble.

A kto obcy zajdzie doma,
To ją dziewką zwie matczyną,
A ta jeno się zasroma
I naśmieje — tyle ino,
I wytknie im, kto rad dociec,
Mazureczka jak i ociec.

Po dawnemu ją z pamięci
Kobza, duda, nęci, nęci.
Zatem jeno się zasłucha;
Jeśli grają na żałosną,
To jej piersi rosną, rosną,
Jak wesoło, w śmiech wybucha,
I śmieje się... czyni cudy
Z ubogiego Dusidudy.

Z książki czytać nauczona
Żadna w świecie tak, jak ona;
Jak szeroki świat, jak długi,
Druga będzie na świat drugi.

Powiadają, że człek ceni,
Pokąd szczęścia nie posiędzie,
Że jak rychło się ożeni,
To i wszystko się odmieni, —
Może tak gdzie, lecz nie wszędzie;
Bo mnie moja Jagna mała
Coraz więcej serce brała,
A to wszystko tem czemś, owem,
Co nie wydać tego słowem...

Słońce świeci, deszczyk pada,
Czarownica masło robi;
Ale ona lepiej zada,
Coś milszego przysposobi,
Jak okrasę, jak omastę,
Za prześliczna na niewiastę;
Więc mnie nieraz tknęło strachem:
Że był anioł pod mym dachem.

Raz w niedzielę przyodziana
Szła, niosący swoje chłopie.

Droga świeża, opadana,
Po świeżości człek się kopie.
Stacha matka nie zostawi,
Czy pracuje, czy się bawi,
Nie wierząca temu kotu,
Co się dziwi nad maleństwem,
Zapatrzony z poza płotu
Jak na ptaka, z nabożeństwem...

Aby z lasu — a od młyna
Już się dobra rozpoczyna,
Wierzby, płoty, trawy, ziela,
I świat cichy jak niedziela.
Cości się po sercu niosło,
Że się niby z ziołem rosło,
Oddychało z wioską, łanem,
Uśmiechało z całem ranem.

Jedno serce na dwa łona,
Co ja myślę, to i ona,
I sny były jednakowe;
Aby na noc dłoń pod głowę,
Rozbudzę się, to coś rzekę,
A ta kończy zapatrzona;
Więc przecieram z snu powiekę,
Co ja mówię, to i ona...

Cudnież to te nasze kraje!
Indziej piękne obyczaje,
Malowane pono dwory;
Ale bory, nasze bory,
Ale łany, nasze łany,
Kraj od Boga wycacany,
Darowany Mazurowi,
I w tym kraju mu najzdrowiej. —

To się w ziemię dąb podawał,
To kościółek z mgły wystawał,
Dzwonek dzwoni sporo, sporo,
Bóg ci odda w dziesięcioro. —

Naokoło gaje, gaje,
Ranne słonko, jak wzrok rybi,
W swą godzinę wczesną wstaje,
Nie zaspi się i nie chybi.
Przez dzień biały droga długa;
Więc półoczkiem naprzód mruga
I porusza jak powieką;
A nad ludzkie wtedy głowy
Kosy złote na dzień nowy
Niesłychany błękit sieką.
Woda sunie, jak po strunie
Ludzkie granie — zakochanie...

Pokąd jeszcze słońce w dole,
Pocieszże się, popatrz oko,
Bo jak pójdzie het wysoko,
Nie wytrzymasz na tem kole.
Ludzkie oko łza opławi,
Gdy się w szczerem świetle stawi.

Coraz wyżej słońce wschodzi,
Jużci widny świat po końce.
— Dobrze człeku, że się rodzi,
Bo zobaczy aby słońce...
A ta usta swe otwiera:
— Jużci, słońce to rzecz błoga,
A szczęśliwszy, kto umiera,
Bo zobaczy Pana Boga.
Widzisz, łajać nie ma za co,
Życie ludzkie — babskie lato,
A mnie przeszła myśl ladaco
I chciałem ją trącić za to.
Ale mnie coś tknęło: wara,
Bo ci rękę Bóg pokara.
Więcem wejrzał jak na matkę
I zadałem jej zagadkę.

Powiedzże mi jeszcze wtóre,
Jeśli masz tak słówko skore:

— Co ucisza i co budzi,
Za czem bieży człek i stroni?
— A ta smutno główkę skłoni:
Żal po zgonie dobrych ludzi.
— A gdzie dom, co nie próchnieje,
Gdzie złe wiatry nie dowieją?
— Tam, gdzie człowiek się nie sieje,
Jeno, gdzie go drudzy sieją,
Żeby się w tym domku krzewił,
A jutrzenką za świat przewił.

Przechylała się już ważka
Mego szczęścia i dostatku,
Więc przez usta mego ptaszka
Przez ciebie, mój biały kwiatku,
Przemówiło... czem dopóty
Doświadczony, wciąż się trwożę,
Życie ludzkie — różne nuty,
Taki to ja chłop, mój Boże. —

Lepiej żeby nie tak święta,
Niech tam ludzie, co chcą, rzeką,
Złe się w życiu mniej pamięta,
A po dobrym i łzy cieką.
Albo niech już razem z człekiem
Domek zamkną białym ćwiekiem,

Nuż wymówi w złą godzinę,
A odumrze — to ja zginę.

— Nie mów ty mnie nic o niebie,
Śmierci ja tam się nie trwożę,
Ale strasznie kocham ciebie,
Cóż ja biedny chłop, mój Boże.
Od wojenki ja nie stronił,
Gdzie gonili i ja gonił,
Lecz ja o tem nie powiadam,
Cośmy brali, co dawali,
A każdemu kłamstwo zadam,
Który sobie wojnę chwali.
Taki pewno śród konopi,
Albo siedział gdzie za sadem,
Kiedy myśmy stali chłopi
Pod żelaznym onym gradem.
Lepiej w karczmie brzęczy skrzypka,
Niż na polu kulka szybka;
Lepiej nosić grabie, cepy,
Niż stać w dymie jako ślepy;
Lepiej patrzeć na chałupy,
Niż rachować w polu trupy.

Niczego się nie zarzekam,
Niczego się też nie straszę,

Chłopek jestem, a więc czekam,
Posłuchanie — prawo nasze;
I nie tegom się zatrwożył,
Żeby mnie Bóg nie zubożył,
Bo ja prubent od kolebki,
Co to biedna chata kurna,
Co to ludzka dola durna,
Co przednowek tej izdebki,
Kędy stoi zydel, płocha,
I matula, która szlocha.

Alem zląkł się, żeby czasem
Nie odeszła mnie sieroty,
Jak niebieski dym nad lasem
Po zagasłej zorzy złotéj.

Po kościele — ano w drogę;
Ludzi się tam zeszło siła,
Zapamiętać już nie mogę,
Która była a nie była.
Była Franka i Połochna,
I Polusia, szczera Wiochna,
Była Kachna, co się chwali,
Że ma usta od korali.
Była Hania i Dorota,
Co się sama zwie: *Ochota,*

Bo tańcować lubi srodze
Choćby też na jednej nodze;
Żeby jednę nogę miała,
Toby na niej wykręcała.

Kiedyś to się oczom zdały;
Myślało się to i owo,
Lecz przy mojej pomalały,
Wszystkie ona przeszła głową;
Spoważniała jakby pani,
Kiedy one — kozy płoche;
I przyrosła jeszcze trochę,
Dawne szmaty krótkie dla niéj,
Nie dochodzą jej do kostek;
Najśliczniejszy — mój wyrostek.

Poznawałem het gosposie,
Te po szatach, te po głosie,
Het znajome z dawnych czasów.
Wozów moc i chłopskich szkapek,
A na tasach — co tam pasów,
A baranich sutych czapek,
A pierścieńców, a obrazków,
A co kwiatów, a co blasków,
Różnych rzeczy... lecz w mem oku
Nie zostały tasy, fury,

Jeno lasy, jeno góry
I kościółek u potoku.

Namawiali na ochotę...
Lecz nam do dnia na robotę,
Dla chorego dla sąsiada,
Bo to żniwa, a tu pada,
A człek ruszon paraliżem;
Doba dobę goni chyża,
Kiedyż ciągnie tak pod krzyżem,
Trzaż mu pomódz dźwigać krzyża
A wstać do dnia, — bądźcie zdrowi, —
Szczęsna droga ku domowi.

Żółwie świszczą od bagniska,
Żwawo drogę człek okłada,
Pociemniało — błyska... błyska...
Parno strasznie — pada... pada...
Coraz deszczu kropla duża
Po obliczu się rozleje,
A po lesie wiatr szaleje
I pogrzmiewa burza... burza...

Ćma — jak w miechu szukaj świata,
Nowy szum i nowe grzmoty,
Błyskawice — wiatr zamiata
Brzezinami od tej do tej.

Szum i grzmoty po raz wtóry,
Piorun, łomot, drżące bory.
Aż i chmury się rozsuną —
Miesiąc leci, chmury bieli,
A tam ogień pogorzeli,
I już cała wieś pod łuną.

— Matko Boża! czy nie nasza,
Czy nie Piotra, nie Jakóba?
— Cicho, cicho, moja luba,
Święty Floryan pozagasza,
Święty Floryan — prawda — woła,
Pomóż świętą swą konewką;
A tu szumią dębów czoła
I deszcz puszcza się jak cewką. —
I znów ćma — więc na kolana
Do świętego Floryana.
A Stach sobie śpi nieboże,
Jak zajączek wpadłszy w zboże.

Janku, Janku, hej daleko
Święty leje światła rzeką,
A chorągiew z chmur utkana,
Kubeł wody srebrzyścieje,
Po nadzieję, po nadzieję
Do świętego Floryana.

Chmury walą w ten kąt świata,
Spalenisko w pierś zalata,
Jakby zapach rzeczy znanéj:
Pierza, wełny i sukmany. —

Duchem, duchem, pierś coś gniecie —
A dalekie one grzmoty
Grzmią, hej! biada wam, sieroty,
Na tym ślicznym bożym świecie. —
Komin sterczy, dymią sadze,
Chałupeczko moja niska,
Głównie tylko, zgorzeliska,
Cóż ja biedny chłop poradzę? —

Spalenisko — straszne słowo...
Gruz pod nogą, dym nad głową,
Stogi, brogi poszły z dymem,
Przyjaciele stoją, gwarzą;
Gdy niedole gospodarzą,
Ubogiemu świat ojczymem. —

Jedna ona przy mnie staje,
Choć nieboga ledwie kroczy,
A memu się sercu zdaje,
Że mi cała wchodzi w oczy.
Potem w sercu robi gniazdo,

Nie zgorzałe, choć ogniste,
I jej słówko słyszę czyste:
Mój sokole, moja gwiazdo!

Uśmiechnęła się nieboga,
Wyciągnęła rękę tkliwą.
Taka smutna a tak błoga,
Jako gwiazda w noc burzliwą.
I niedola się podziała,
Zapomniałem, kędy stoję,
Przy mnie moja Jagnia mała,
Niby jedno, niby troje.
Matki oczy na dzieciątku,
Jedną ręką dziecię trzyma,
Drugą mych się piersi imą,
Jak to było na początku.
Zadymione w krąg przestworze,
Świat jak gdyby bez nadziei,
Tylko nie me serce, nie jéj.
Ach! jaki ja chłop, mój Boże.

Pójdę, choćby na kraj świata,
A rąk w biedzie nie założę,
I znów się poszyje chata,
Wszakże Pan Bóg wszystko może.
Przycisnęła się nieboga,

Łza po twarzy ściekła rzęsna,
— Szczęsna tobie, człeku, droga,
Ale czy mnie będzie szczęsna?
Na zatrutem matki mleku
Ta dziecina się wychowa,
Idź za pracą, idź, człowieku...
Takie były matki słowa.
Ja tu znajdę chleb i strzechę;
Wszędy dobrych ludzi mnogo,
Tylko sercu na pociechę,
Nie skończyła, że nikogo...
Ha! nabrałem wiatru w siebie,
A tu piersi kamień gniecie,
Obejrzałem się po świecie,
Obejrzałem się po niebie...
To pójdź ze mną... nie, zostanę,
Płaczem buchło śliczne łono,
I oparła się o ścianę,
O tę ścianę opaloną.
Łacniej człeku kiedy samy,
Bóg o biednych baczy losie,
My tu sobie radę damy,
Będę chodzić na *pokłosie*. —

Nauczyłem ja się sztuki
Wiązać sita i przetaki,

Toć nam chyba z tej nauki
I pożytek przyjdzie jaki.
Dalej! we świat z mym towarem,
Z tym jesiennym świtem szarym;
Pociągnąłem za Karpaty,
Tą cesarską drogą bitą...
Różni ludzie, różne światy,
Toć się znajdzie kto na sito.
Bóg łaskawy — świat nie taki,
Będzie, będzie, co tam pytasz,
Będą grosze za przetaki,
Biłgorajski wróci sitarz.

Co to życie, wronko siwa?
Uścisk, praca i uśmiechy,
Mało zboża, dużo wiechy,
A gdy zasiew szczęsny bywa,
To już pewne łzy na żniwa,
A człowiek się zawsze łudzi,
Czy śród ludzi, czy bez ludzi. —

Przecie moja, da Bóg, żyje
W dobrem zdrowiu i spokoju,
I z jej ręki się napiję
Wody z rodzinnego zdroju.

Z sosną krzywą, z wronką płową
Chwila przeszła na rozmowie,
Dobrze z wroną, bo nie powie,
Że człek przędzę snuje nową.
Przędzę onej to nadziei,
Że do własnej chaty dążę,
I tę przędzę po kolei
To raz targam, to raz wiążę.
Nie z daleka gród się bieli
U szerokich wód Dunaju,
Żebyż to tak po niedzieli
Ruszyć w drogę a do kraju. —

Możeż człek się i nie łudzi,
Wchodząc z ciszą między ludzi,
I nie wszystko jak przez sieci,
Co naleje, to przeleci...

Bóg łaskawy, świat nie taki,
Będzie, będzie, co tam pytasz,
Będą grosze za przetaki...
Biłgorajski wróci sitarz.
Nie wiem, skąd mi łza się wzięła?
Ano w sercu łzy się kryją
I z żywego źródła biją,
Prosto z serca popłynęła;

Ocieram ją pokryjomu,
By nie ponieść łez do domu.
I ot sitarz mknie za wodą,
Słońce wzięło się dopiekać...
Cóż się stało z nim, z Jagodą?...
Co się stało?... ano czekać...
Już ja powiem w swoim czasie,
A przerywek mi nie czyńcie...
Bo ja ciągnę raz na basie,
Raz na basie, raz na kwincie.
Ciągnę struny, patrzę na nie,
Jak koń jeździ po baranie —

Cicho, pusto... czyliż na tem
Zakończymy nutą smutną?
Tkacz snów złotych za warstatem
Rażnie swoje dzierzga płótno.
To prowadzi nitkę szarą,
Niby pająk pajęczynę,
Więc zwątpienie szczerą wiarą,
A nadzieją łzę przewinę,
Kwiatek rzucę na śnieg przędzy,
Wyprowadzę wiosnę z śniegu,
A co będzie tam u brzegu,
Nie dowie się chyba prędzéj
Aż dosłucha końca bajki,

Kto łaskawy, kto ciekawy.
A ja puszczam sroki, czajki,
Na trzy dymy, na dwa stawy,
Niech obniosą moją stroną
Moje nuty najkochańsze,
Które szybsze, które rańsze,
Na słoć chłodną, ruń zieloną.
Hej! ty skrzypko mazowiecka,
Darowana mnie od dziecka.

V.

W głuchym lesie któż tam wzdycha?
Takie młode śliczne panie,
Młodziuchne to — a usycha,
Że aż litość spojrzeć na nie.

Broń ogląda w drżącej dłoni,
Kurek spuszcza, to odwodzi,
I na niczem ot czas trwoni —
Oj! wy, bardzo biedni młodzi.
Cóż ci to, paniczku, proszę,
Czemuś smutny jak noc w zimie?
Odkąd chrust sosnowy noszę
I pod lasem smołę dymię,
Nie widziałem ócz tak smutnych;

Coś to wam się świat nie patrzy,
Jestć złodziei w nim wierutnych,
I nie lepszy, kto bogatszy.
Przecież są ludziska wszędzie,
Rozweselcież swe oblicze,
Jakoś to tam jeszcze będzie,
Jako ja wam z serca życzę.
Na to młodzian: mój człowieku,
Jeśli wiesz, opowiedz drogę:
Gdzie jest szczęście w moim wieku?
Bo ja dojrzeć go nie mogę.
Podstęp, kłamstwo i obłuda,
Zatracone boskie prawa.

— He! to wam się jeno zdawa,
Spojrzyjcie sam gdzie ta buda —
W tej chruścianej żyje chacie
Czworo ludzi, a tak czworo,
Lecz wy ludzi tych nie znacie,
Co z tych lasów chruścik biorą.

Po straszliwej pogorzeli
Znów poszyli się po czasie;
To ich dziecko, co się bieli,
Co pod lasem gąski pasie.
Napatrzycie się do woli,

Co to szczęście, patrząc na te;
Prosta droga śród topoli
Przed otwartą wiedzie chatę.
Przed chałupą leżą łuba,
Bo to sitarz z naszej wioski,
Na bębenki jego luba
Sitowiane ściąga włoski.
Chata czysta jak wymyta,
A przetaki w krąg i sita.
Jedno dziecko piersi woła,
Drugie dziecko na posłudze;
Przy potoku śrebrnej strudze
Stoi lipa chmurnoczoła.
Miodu, wina nie leją,
Białej mąki nie namieszą,
A ujrzycie, jak się śmieją,
Jak się sami z sobą cieszą.

Gdy on poszedł za zarobkiem..
Nazywa się Jan Cierpiała,
Nad spalonym jednym żłobkiem
Sama z dzieckiem pozostała;
I z pomocą Bożej ręki,
Z gruzów własną chatę wzniosła,
I topolka jej wyrosła
Na ogródku Bogu dzięki.

We łzach oczy onej stały,
A usta się uśmiechały;
Opędzała się żałobie
Jeno pracą dniem cichutkim,
I nie spytał nikt — co tobie?
Bo nie spotkał się ze smutkiem...

Dzieci o wieczornej rosie
Przynosiły jej pokłosie.
Jako ptaki, dziwowisko,
Porywały się z pościołek,
Dla Jagienki na popiołek
Na pokłosie w świat na rżysko.
Rzekłbyś, Bóg zarządził w górze
Posłać jej aniołów wtórych,
Nie tych na śrebrzystem piórze
A na chłopskich nóżkach skorych.

Idźcież do tej chatki, Panie,
Jest tam szczęście, radość błoga,
Zapytajcie się u proga,
Za wiele go tam dostanie?
Zdaje mi się, za niesiła,
Pożegnajcież myśli płoche,
Za miłości szczerej trochę...
— Patrzcie, chatę otworzyła.

Gdy zajrzała, nie pominiesz...
A pominiesz, marnie zginiesz,
Biada, kto jej nie posłucha,
Kiedy woła... ucha! ucha!...

JAGODA.

Zbliż się, zbliż się, Panie młody,
Na te łąki, na te wody,
Pod te sosny nad wodami,
Pod te chmury nad sosnami.
Na okienka nasze co dnia
Sieci wiesza zorza wschodnia.
Tu przed chatą w cienie skrytą,
Stawa Pan Bóg sam z Kalitą. —
Bocian księdzem, ciotka wroną,
Nad tą chatą pochyloną,
Pieśń odlata w ślad tych liści,
Tu się gwiazda w wodzie czyści.
Zbliż się, zbliż się, Panie młody,
Na te łąki, nad te wody. —

SITARZ.

Śmiało, śmiało w cieniach bora
Bębnią bąki od jeziora.
Niema, Panie, tu obawy,

Ani sławy, ni niesławy.
Tu się żyje Bożem prawem,
Tu się patrzy czystem okiem,
Tu czajeczka wciąż nad stawem,
A myśl krąży nad obłokiem.

JAGODA.

Kiedym była niezamężną,
Nazywała mnie pustota:
Tych jaskółek wszystkich księżną,
Co latają pod te wrota;
Potem Matki Bożej sługą,
Którą z siostrą niosłam drugą,
Pod odzieżą złotą... długą...
Dziś ja żoną mego człeka;
Pójdźcież, pójdźcie, Panie młody,
Gdzie zaprasza, gdzie was czeka
Ludzkie serce, dym gospody. —
Po tych ziołach, gdzie gałązki
Osmykują białe gąski;
Pójdźcie, pójdźcie, sam rodaku,
Na dym, na woń tataraku;
Pójdźcież, pójdźcie bez obawy
Nad te wody, nad te stawy,
Pod tę strzechę nad jeziorem,
Pod ten miesiąc po nad borem. —

Jeśliś zdala — to i może
Powiesz co o naszym bratku,
Bo tu o nim cicho w borze,
Ani słychu, ani wiadku...
Mój mi jeno całym światem,
I dziecina ta u łona...

SITARZ.

Nie wierz, Panie, bo to ona
Co jest światem i dość na tem...
Więc i Smolarz wtrąci swoje:
Idźcież, idźcie nad te zdroje.
Łza opadnie, ból przeboli,
Szczęsna droga, Panie młody,
Przez ten mostek, rząd topoli,
Na jagody do Jagody,
I do człeka — co ją zowie
Prawem okiem w swojej głowie.
Szczęsna droga, chleba, soli
Nie zabraknie, ni gospody,
I przeboli to, co boli,
Na jagodach u Jagody.
A Jagoda — to pogoda,
To woń leśna, to myśl młoda,
Dla Jagody mój śpiew ptasi:
Co pogorzel serca gasi.

Czas przeszłości, pieśń młodości,
Ojczystego brzęki zdroja,
Nieproszona — dalej w gośei,
Pieśni moja, duszo moja;
Nieproszona, czy proszona,
Liro moja, złotostrona,
Na zapadłe kurne chaty,
Tak po latach, jak przed laty...

— Koniec — jakto i cóż daléj,
Czy się w wodzie końce kryją?
Czy pomarli? — Gdzie zaś — żyją,
Z łaski Boskiej siedzą cali,
I dym leci na pustkowie,
I wciąż bąki w bębny biją...
— Kiedyć żyją, niechaj żyją,
Niech im Pan Bóg daje zdrowie.

A pamiętasz?...

— A pamiętasz, Basiu miła,
Jak ci matka czapkę szyła?
Matka dobra, matka cicha,
Obszywa to a opycha,
Koszulinę, choć i krótką,
I czapczynę dla wygody,
A pod pierwszą wiąże bródką,
Bo dziecina ma dwie brody —
(Na pierwszej się robi dołek),
A matusia pieści, chucha,
I nazywa to: *Janiołek.*
Nie Janiołek, a dziewucha,
Co, jak mała, raczkiem chodzi,
A podrosłszy, gęsi wodzi,
To na drogę, to za cmentarz, —
Latawica, próbuj spętać!...
Słuchaj, Baśka! ty pamiętasz?
— Co nie miałabym pamiętać?...

— A pamiętasz? na matulę
Krzyczeliśwa: króle! króle!
Jeden szary, drugi biały...
Hajno królik! hajno mały!
Matusieczko, jako puszek!
Jeno oczki i dwa uszek!...
A było ich siła tyle,
Co rachuję, to się zmylę;
Dwa, trzy, cztery do dziesięciu,
Potem trudno pacholęciu.

— A pamiętam, cóżbym miała?...
Com ich się nacałowała!
Takie małe, a król duży,
Co się spina, niby służy...

— A pamiętasz, jak śnieżysko
Napadało aż do proga?
W chacie było zimno, ślisko,
Bo klepisko, nie podłoga.
Kiedy zimno boki ściska,
Na hulankę, na śnieżyska!
Dalej dzieci, dalej hulki!
Tarzalim się, jak dwie kulki.

Wrony kraczą pod chałupą,
A za niemi wróble kupą.

Konie kuje dwóch kowali,
A dwóch drugich młotem wali,
A miech syczy, jako żmija,
Więc młot bije a rozbija:
Dzięk, dzięk! grzmoci, iskra pada,
A z za wioski odpowiada.

— A pamiętasz jaskółeczkę,
Co za piecem zimowała?
Jak się ona z nami znała!
Jak siadała to na beczkę,
Co z kapustą w kącie stała,
To tu, to siu, i dziewczynie
Biały dzionek przypomina...
Bo jaskółka, jak dziewczyna:
Tu się zwinie, tu się zwinie,
Nie uważa, choć i mrozik...
A skrzydełko jakby kozik.

A we wiosnę Boży ptaszek
Oblatuje całe sioło,
Biega, lata wkoło, wkoło,
Pod ten daszek i ten daszek,
Pod okienka, pod poszycie,
Pośpiewując: życie, życie.
Hej, jaskółki, siostry, drużki,

Dalej, dalej z swej pościółki,
Rumienią się strugi, strużki,
Wstawać, wstawać przyjaciółki!
Białe żytko na okwicie,
Fitu, fitu! życie, życie.

— A pamiętasz? hej daleko
Pobłyskuje coś nad rzeką.
Za ogrodem, tam po drodze,
Słowik nuci swej niebodze,
A szczęśliważ to godzina,
Co wycina, to wycina,
Ciachu, ciachu aż do brzasku,
Aż rozlega się po piasku.
Więc pogwarkiem świat już gada,
Jedna żaba na bagnisku
Nie dziwi się dziwowisku
I nie rechce rada, rada.

— A pamiętasz błyskawicę?
Jak ci huknie, jak obleci,
To my duchem małe dzieci
Chowali się za rodzicę;
A rodzica buch do ziemi!
Więc gdy oni, i my z niemi.
Poświęcone kurzą zielska,

A nad łóżkiem ta Gidelska
Pani nasza i anielska...
Chowamy się za matusię,
Jak z pod pieca białe trusie.

A jak chmurka się przewali,
— Hej dzieciaki! jak-ta zboże?...
A nad zbożem świeci zorze,
I nad lasy dalej, dalej...
Jest ci jęczmień, jest i proso,
Jeno woda ciecze z wąsów;
A ty boso i ja boso.
Co tu krzyków! co tu pląsów!
Bóg Najświętszy ustrzegł gradu,
Jeno wody ciągnie strużka...
A śliwki się świecą z sadu,
A tam jabłko, a tam gruszka.
Więc ze zmokłym kur ogonem
Rezonuje nad zagonem,
Nasz kogucik krasnopióry,
A świadczą mu szare kury.
Mój Ty Boże! lato, lato!
Rdzawe lasy, dym nad chatą,
I te siewy i te żniwa!
Co mi się to wszystko śniwa!

— Ta pamiętam! — A Jankową,
Co ją ludzie zwali Sową?
A pamiętasz Jóżkę gładką,
Co przezwali ją Dzierlatką?
— I Jóżkę też. — A pielgrzyma,
Co się było boru trzyma,
Co to uczył za kęs chleba,
Co nie trzeba, co potrzeba?

— A pamiętasz, przy niedzieli,
Jak nas dobrzy ludzie wzięli?
Matuś była nie przeciwna,
Co leżała jużci sztywna.
Świeczka stała u jej głowy,
A na nóżce trzewik nowy;
Podeszewki z skóry białéj,
Co się ziemi nie tykały...

— A pamiętasz, jak jedyny
Pierścionek ci podał z cyny?
„Będziesz moją po wojence.“
A ty Baśka łamać ręce...
Bo chłopak był prawie godny,
I odważny i urodny:
Wąsik mu się sypał złoty,
Oczy mu się jeno skrzyły,

Do roboty, do ochoty,
I Baśce był strasznie miły!...

Cóż tak czynisz oczy skromne?
Nie pamiętasz? — Ej, nie pomnę.
— A czegoż-to oczy twoje
Coś otwiera, coś zamruża?
Oczy mokre, jak dwa zdroje,
I znów liczko jako róża,
Jako płomień na kominie...

— Dajże pokój... — I dziewucha
Już odbiega, już nie słucha
I w dalekiem polu ginie...

CZAJKA.

— O kurzycy prawił Grajko,
Że znosiła złote jajka;
Powiedzże mi, pani czajko,
Czy to bajka, czy nie bajka?
Złote jajka kury niosły,
A na wierzbie gruszki rosły?
— Okłamali, chłopie, ciebie,
A kurzyca na śmietniku
Jak grzebała — tak i grzebie;
Szczera bajka, mój kuliku. —

— Powiadała stara Nastka,
Że chłop sobie w domku kmiecym
Jak u Boga żył za piecem;
Czy to także przypowiastka? —
— Gnerowali, jak gnerują,
Biedowali, jak biedują. —

— Rozpowiadał ojciec stary,
Że był naród jednej wiary,
Że na drodze, nie na drodze,
Za słóweczko, za podziękę,
Pomagała noga nodze,
Umywała ręka rękę;
Ani zwady, ani krzyku,
A grosz zawdy był w kieszeni
Od jesieni do jesieni. —
— Szczera bajka, mój kulika.

— Gdy nie było, może będzie:
Na bociany tatuś czeka,
Matka sieje len na grzędzie,
A narzeka, nie narzeka,
A przymawia, a napędza
Na robotę — na robotę;
Ziemia zrodzi jajka złote,
A jak nie, to przyjdzie nędza.
Sroczka krzyczy na przyciesie,
Kasia piele na zagonie,
A od świtu codzień drze się,
Że hułany poją konie,
Że się cosik ma na zmianę,
Że się kąty poweselą,
Że te zorze malowane

Już świtają, już się bielą,
Jak te białe na jeziorze...
Cóż ty na to, czajko mała? —
Ale czekajże nieboże,
Kiedy czajka odleciała;
Szkoda czasu, szkoda krzyku,
Cicho, cicho, mój kuliku.

MACIEK.

Hej! do tańca, dziewuchy,
Zagraj, dudko Jaśkowa!
Cóż to, grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Hej! Mazury do licha,
Cóż zaś wam się przydało?

Każdy patrzy a wzdycha,
Czy złe ludzi spętało?
Ta i Franek przechera
Jeno zyzem poziera,
A dziewuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy.

Gdy tak Maciek ochoczy,
Ośmieliły się oczy,
I Jan stary z za stoła:
Grajże, grajku, zawoła.

Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył,
Maciek w tańcu wyskoczył,
Ognia dały obcasy.
Hej! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Kej mi zdechły dwa woły;
Niech ta zdychają sobie,
Przez to w polu nie robię,
Jeno w karczmie tańcuję,
A cieszę się, raduję...
Oj! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Spaliły się stodoły,
Nie będzie ta kłopotu
Wedle zboża omłotu,
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Hej! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Co mam nie być wesoły,
Mój dorobek dwa doły,

A w nich moja Zosieńka
I dziecina maleńka.
Oj! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Cóż tak patrzysz hej, stary?
Stawałem ci do miary,
Dzisiaj moja hulanka,
Jutro branka, hej! branka.
Oj! ta dana, hej dana,
Dołoż moja kochana!

Gdy się Maciek ochoci,
Cóż zaś Grajko się poci?
Kropla w kroplę pod oczy
I na wąsy się toczy.
Czy mu struny porwano?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmaną
I coś mruczał i szeptał.
A dziewki się spłakały,
Że skrzypki grać przestały.

Bądźcie zdrowi, wy starzy,
Niech ta Pan Bóg wam gwarzy,
Bośta wszyscy i Janek,
Józef, Franek, Stefanek,

I Wawrzyna i Jewa...
I znów skacze i śpiewa:
Oj! ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!

Za muzykę zapłacę,
Jak się kiedy zbogacę,
Jak zbogacę, oj gdyby!
Naostrzyły się słuchy,
A on trzęsie dwa grzyby
I ta jakieś okruchy.
Wyśpiewuje o głodzie,
Pochyliły się głowy,
Posmutniało w gospodzie
Od ochoty Maćkowéj.
Śnieg po świecie zagania,
Kury pieją pod strzechą:
Niedaleczko do rania —
Bodaj z taką uciechą!

PUSTOTA.

Oj, pustotaż, to pustota!
Otworzyła stare wrota,
Pokazała ząbków rządek.
Gdzie tu głowa? gdzie rozsądek?
Na takową trudna rada,
Bo się dusi, co zagada,
Wypatrzy się jak na stracha.
— Jak cię zwali? — Ha, ha, ha, ha! —
— No, jakże cię, dziewczę, zwali? —
Gadaj do niej, gadaj dalej!
Albo wstydem się obleje,
Czerwieni się, gdy się śmieje.

Kto rad wiedzieć co w tej głowie,
Od niej samej się nie dowie,
Nic tam jeszcze, lub nie wiele,
Ale w sercu wciąż wesele.
Z czego? niech się kto zapyta:
Że noc schodzi, że dzień świta,

Że południe, że odwieczerz;
Więcej pewno nie docieczesz,
Że się gwiazdki świecą w niebie,
Że szczęśliwa sama z siebie,
Że kwiat rośnie, że wiatr szumi,
Że chłop młóci, kowal kuje,
I że wszystko dobre czuje,
A nic złego nie rozumie.

— „Czego ty się śmiejesz, pusta,
Powiedzże mi raz, dziewczyno?“
A ta wpija usta w usta:
— „Tak was kocham, matusino!“ —
I na łonie matce siada;
Radaby się kołysała.
A matusia jej powiada:
— „To ty myślisz, żeś ty mała?“ —
— „Matusieńko, — prosi Józka,
— „Jeszcze, jaszcze daj całuska!“ —

Więc matusia jakby w tęczę,
W jedynaczkę patrzy swoją;
Ci, co tam przed Bogiem stoją,
Czy szczęśliwsi — nie zaręczę.
Co tam róża, konwalia?
Ona śliczna jak niczyja!

Ale matki uśmiech krótki;
Popatrzyła na te łatki,
I na oczy biednej matki
Napłynęły jakieś smutki.
Koszulina połatana,
Sukieńczyna z tego spada;
Jej dziewczyna rozgadana,
Ale matka nic nie gada.
Cóż ja dam ci, co zarobię?
„Kto to weźmie?“ — myśli sobie...
I milczenie się przedłuża.
Że przedłuża, któż się zdziwi?
Ludzie gonią niepoczciwi
Za groszami, a to róża...
Ma ta biedna myśleć dużo!
Czy nie zwiędniesz, śliczna różo?...

Prawdziwa sierota.

Pod nędzną płachtą wlecze się pachole;
Ojca już dawno, a dziś matkę w dole
Ludzie chowali — Któż weźmie sieroty?
Żebyż się ludzie trzymali jak płoty!
Ale gdzie to tam? — ano, idzie bieda,
A kiedy zajdzie na to cmentarzysko,
To przecież nikt jej poratunku nie da.
Śnieg, znów mogiły, i znów śnieg i ślisko...
„Oj biedaż moja, matusiu ty święta!“...
Po cóżeś przyszło? ano, jak dziecięta;
Cóż one wiedzą? wlecze się i żali...
Aż tu coś ujrzy; jakoby znajomy,
Obdarty, jak ta chałupa ze słomy,
Kiedy we snopki i wiatr i grad wali;
Więc się ku niemu co rychlej przebierze:
— „Zimno, dziadusiu, — oj, zimno!“ — „O, wierzę...

Ale cóż cię tu, pacholątko, miecie?“
— „Matkę pogrzebli i wszystko na świecie!“...
I nuż się w płaczu zanosić i w szlochu,
A potem, potem uciszać po trochu.
„Nie grzesz, chłopysiu, Bóg cię nie zamorzy,
Będzie ci, będzie, raz lepiej, raz gorzéj,
I pójdziesz światem, czy burza, czy słota,
Nazwą cię bratem i będą ci bracią,
I matka wróci pod inną postacią.
Temu nie gadaj, dziecko, żeś sierota!
Tobie świat cały i wszystkie nadzieje;
Znajdziesz i lepszych niż twe rodziciele,
I człek się tobie i wszystko rozśmieje,
Bo przecież, przecież dobrego jest wiele.
Ale jak z wiekiem, czego sobie życzą,
Jak ja, dożyjesz ośmiudziesiąt latek,
Jak postarzejesz, i jak na ostatek
Z wszystkiego szczęścia ciebie wydziedziczą,
I dzieci pomrą i poczciwe druhy,
A wichry z śniegiem na grzbiet się pomiotą,
Kiedy tak staniesz, jako ten krzak suchy:
Wtedy się nazwiesz prawdziwym sierotą.
Gdy nikt się do cię nie przyzna, nie powie:
„Pójdź sam, człowieku,“ wtedy na mogiłki
Pójdziesz wyklęczać, jak ja, ten śnieg pyłki,
I będziesz, jakby na swoim pogrzebie“...

Skończył, a dziecku kładąc krzyż na głowie,
Poszeptał słówko z swego abecadła;
Dziecko odeszło, a dziadu łza spadła...
I smutno, chłodno na ziemi i w niebie.

MOROWY.

Wypędźcie wy mnie, o co ja was proszę,
Bo ja ze sobą nieszczęście przynoszę;
Niech ja do karczmy zajdę przy niedzieli,
Jużci po tańcu, jużci po kapeli,
A małe dzieci przeleci ograszka...
Ja biedny Staszek; wypędźcie wy Staszka,
By co gorszego nie przyszło na głowy.
Śmierć za mną chodzi, zowię się Morowy,
I tak mi widać do końca sądzono,
Aż mnie we skrzynkę położą zieloną;
Ale i wtedy daleko za siołem
Niech mnie przebodą osikowym kołem,
Bo kto tam zgadnie, czyli nie ożyję,
Z grobu nie wstanę, krwi się nie opiję?...
Oj! życie moje, oj, nieszczęście moje!...
A że was kocham, więc się siebie boję.
Wypędźcie Staszka na lasy i bory,
(hoć Staszek biedny i stary i chory,

A wiatr dziurami polatuje świtki.
Niech ta już idzie, gdzie oczy powiodą,
Byle się dobrać do tej ciemnej skrytki,
W której i cicho i ciernie nie bodą.
I jak powiedział, tak mu się i stało,
Prochem to było, prochem się rozwiało.

A w naszej wiosce było, jak bywało:
I wietrzyk wieje i strumyczek płynie
I słowik ślicznie śpiewa na kalinie.

Odstawny.

Gdzież to ja nie bywał, czego nie widywał, mój ty miły Boże, kochany,
Kaukazkie góry, Karsy i Amury, Bałkany,
Od piaszczystej Chiwy aż po Dunaj siwy, świat boży;
Coś się w głowie kręci, już tego z pamięci nie złoży.
Owy chleb kazienny, owy kwas codzienny nie tuczy,
Jeno co śród bitwy człowiek się modlitwy nauczy.
Hej, bo kiedy trwoga, dusza się nieboga poleca;
Dziś to się ta śmieję, kiedy ręce grzeję u pieca.
Stara skóra bita, na łożu zeszyta, w szpitalu,
Lata płyną duże, za cóż ja ci służę, Moskalu?...

Od bitwy pod Plewną nie noga a drewno — ot nędza...
Nie moja to chatka, kędy człek ostatka dopędza.
Gdzie ja to nie bywał, czego nie widywał na Wschodzie,
Popłynęły lata, jak liść popłynęły po wodzie.

Już mi chyba mało życia pozostało, a przecie
Człowiek sobie biada: ot nędza na dziada na świecie.
Lada dzień, na wieży gdy dzwonek uderzy, oj dzwonek,
Na ten świat, na drugi, mam ci ja zasługi — galonek,
Za dzień pod Teszkientem mam krzyżyk ze świętym Jędrzejem,
I pokwitowanie, że nie byłem — panie — złodziejem.
A gdziem się urodził i kiedym wychodził, tam wiedzą:
W polu urodzony, przy wierzbie zielonej, nad miedzą.
Jak owieczkę miła matka mnie powiła wśród owiec,
I żyłem jak owca, wśród świata manowca — wędrowiec...

WDOWA.

Oj, biednaż ja, biedna wdowa, któż mnie też przytuli?
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.
Od chałupy odprawili, — idźcie z Bogiem — rzekli,
Łzy mi z oczu wytoczyli, bo świeży chleb piekli.
Oj, nie czują ludzkiej nędzy; bodaj nie poczuli!
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.
Boża męka nade drogą, Pan Jezus pod daszkiem,
Ptaszek swoje tam wysiada; bodaj to być ptaszkiem!
Patroncem się poleciła, tej świętej Urszuli;
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecię, luli.
W białym dworze siła gości, i gwarno i ludno,
Chciałam skłonić się jejmości, przedostać się trudno.
Gdzieś mojego tam zabili jak rok na Trzech Króli;
Wichry chłodne, dziecko głodne; luli, dziecko, luli.

Rozmowa chłopa z uczonym.

Chłop: Racz mnie objaśnić, mój panie uczony:
Czemu, co nigdy, nigdy nie bywało,
I wschód i zachód taki dziś czerwony,
Jak gdyby całe niebo zgorzeć miało?
Wszakci ja blisko lat sześćdziesiąt liczę...

Astronom: Rożne być mogą zjawiska powody,
Lecz to, co pewne, jest i zasadnicze:
Że to wapory czynią czyli wody,
W wielkiej ilości w powietrzu wiszące,
W których się łamie i odbija słońce.

Chłop: A czemuż dawniej, chociaż wody braku
I nie bywało, burze i powodzie,
Nie pomną takiej łuny na zachodzie?

Astronom: Ale bo widzisz, światło to Zodyaku...

Chłop: A ludzie mówią, że widząc, co widzi,
Niebo się za nas rumieni i wstydzi;
A inni indziej szukają powodu:
W krwi zabitego jakiegoś narodu.

Dwie Zorze.

Hej! tam za wioską stara cerkiewka,
Przed nią dzwonnica nowa;
Wyjdźże, dziewczyno, wyjdź czarnobrewka,
Gdy miesiąc w las się schowa.

Wyjdź mi, dziewczyno, przed słońca wschodem,
O najranniejszej zorzy.
Porwie się dziewcze, zbudzone chłodem,
Na ścieżaj drzwi otworzy.

Zorza już wzeszła, — szeroko, długo
Pooświecała góry;
Patrzę na jedną, patrzę na drugą,
Dziwić się — nie wiem — której. —

Czy tej na niebie, całej we złocie,
Co rzuca wciąż oświatę;
Czy tej na progu mojej sierocie?
Patrzę na tę, to na tę.

Jasna zorzeczka, boża służeczka,
Niech sobie służy Bogu;
A mnie niech kocha moja dzieweczka,
Ot tak, jak stoi w progu!

Trzy piosnki Padury.

I.

O, jak mnie ta woda miła
Z brodu zielonego,
Jak w niej rybka, tak jak żyła,
Gdym czerpała z niego.

Ponad wodą w pobliskości
Kwitło róży tyle...
Z za miasteczka do nich w gości
Latały motyle.

Kiedy słońce weszło boże,
Na piosenki chwila,
Ja nad wodą rwała róże,
Goniła motyla...

Kiedy słońce się chyliło,
Sen obejmał chaty,

Milsze cudo mnie się śniło
Nad muszki nad kwiaty.

Tenże smug i woda zdroju,
Obłok, drzewa kniei,
Gdzieżeś młodych dni spokoju?
Gdzież wy sny nadziei?...

II.

Widort.

Od miasteczka do stolicy,
Gdzie żywego ducha czuł...
Dla rycerza, dla dziewicy
Dumy złote Widort snuł.

Stare zamki jego znają,
On lat dawnych uczył was,
W jego pieśniach odżywają
Zmarłe lata, zmarły czas.

W Zaporożu lat niemało,
Gdzie dnieprowy szumny brzeg,
Kozakom się prześpiewało
O Bohdanie piękny wiek.

Chociaż błogie z nimi gwary,
Choć ubiega życie w skok,
Idę w Polsce kończyć stary
Sześćdziesiąty ósmy rok.

Otwierajcież zamku bramy,
Lacką pieśń wam śpiewać rad,
Posmuci się śpiewak z wami,
Posmuci się, ruszy w świat.

Nie za datkiem — oj, panowie,
Ciągnie śpiewak resztką sił...
Ot, niech tylko ktoś tam powie:
Kiedyś Widort u nas był.

III.

Jak ja lubię ten kurhanek,
Z niego w krąg wysoko,
Śród radości, w cichy ranek
Poglądało oko.

Raz tu — pomnę — nad kurhankiem,
W południe przysiędę,
Aż młodego pył z tumankiem
Przypędził przybłędę.

Widno — jechał od Kuczmany,
Bo bił się po szlakach,
Gonił, wodził przez burzany,
A zanikał w krzakach.

Jam zobaczyć konia chciała,
Co to serce młode;
I na drugi brzeg bieżała,
Niby to brać wodę.

Nieznanego liczko hoże,
Miła była mowa,
Serce zabydź, ach, nie może
Ni twarzy, ni słowa.

Coś to było w nim świętego,
Na wejrzenie słuszny,
Gdzież ten anioł serca mego?
Gdzie ty, ptaku duszny?

Zaproszenie.

Nad brzegiem cichych wód
Zagroda moja stoi...
Góry na zachód, wschód,
W około chaty mojej,
Góry na zachód, wschód.

Przed nią wiekowy dąb,
Wiekowy stary, stary,
W jeziora chyli głąb
Dwa poschłe już konary;
Wstąp do mej chatki, wstąp.

Jest wszystko, co sam chcesz,
A serca tyle, tyle,
A tylko wierz mi, wierz,
Znajdziesz spoczynku chwilę;
A tylko wierz mi, wierz...

Dzieweczka moja młoda
Posłuży ci z podróży,
Dzban pełny miodu poda
I chleb położy duży
Dzieweczka moja młoda.

Na ogień wrzuci drew,
Do szklanek podolewa,
A jeślić miły śpiew,
I polską pieśń zaśpiewa,
A jeślić miły śpiew.

Przy ogniu się zawinie,
A szczerze bardzo, szczerze...
I nim miesiąc wypłynie,
Zastawi ci wieczerzę,
A szczerze, bardzo szczerze.

Żórawiem potem wraz
Naciągnie kubeł wody,
A konik znajdzie wczas
I jego panicz młody,
I konik znajdzie wczas.

A gdy świat się układzie
Spokojnych dobrych ludzi,
W zielonym wtedy sadzie
Słowiczek się obudzi,
W zielonym wtedy sadzie.

Z KALETY DZIADA,

którego kiedyś nazywano poetą.

Gadanie ptasie.

Ja skowronek z pod kamienia, z pod mojego, hej!
Przyśpiewuję rolnikowi: siejże, człeku, siej...
Przyśpiewuję jak mogący, milsze ptaszki sąć,
Ja ci jeno podśpiewuję: daj ci, Boże, żąć...
Daj ci Boże suche żniwa, daj ci mokry maj,
Daj ci Boże, gospodarzu, żyto gdyby gaj...
Życzysz ty mnie skowronkowi, to ci Boże płać,
Na życzenia ubogiego jenoć tylko stać.
A no wejrzej po nowinie, aż coś serce rwie,
Co wiaterek się zawinie, kłosik żyta gnie.
A no wejrzej po dolinie, co tam szumnych grusz,
A gruszeczki pocieszenie dla chłopięcych dusz.
A no wejrzej po dolinie, rzepikowy łan,
Pozłocił ci złotem ziemię ten Niebieski Pan.
A no wejrzej po dolinie: tu Dniester, tu Zbrucz,
A tam lecą dzikie gęsi i żurawi klucz.

A tam ci się przewalają srebrne fale niw,
Nasza ziemia, gospodarzu, toć to szczery dziw.
Gdyby jakie objawienie, jako w niebie zaś,
Nadychaj się swego wiatru, oczy swoje paś,
A swego się trzymaj pługa, boć to z nieba pług,
Rodzicowi Adamowi darował sam Bóg.
Z Aniołami najświętszymi gdyś się z raju miał,
Na pracę ci, na pociechę pług, człowieku, dał...
Ukuli go w jasnem niebie Aniołowie w trzech,
Użyczyli na zasiewy silny zboża miech.
Bo ten Ojciec miłosierny nie chciał śmierci twej,
Ulitował się Adama, siej! Adamie, siej!...
Wszystko pójdzie ci po ręku, będziesz miał i grosz,
Jeno pługa się nie puszczaj, orz, Adamie, orz.
Gaj wam śpiewa po swojemu, wietrzyk po swojemu,
Znaj, człowieku, swoje prawo, Boskie przykazanie.
Hań!... na rolę woła ciebie ptaszyna mizerna,
Wstań, dzwoneczek od kościoła a dzwoni, a dzwoni.
Spiesz się, człeku, do roboty, mogiłki coś gwarzą.
Wierz i dufaj, bo jak strzała dzień wartko przelata,
Raz ci żyć, na powrócenie nie masz pozwoleństwa...
Czas, co stracisz na wygodzie, chaty nie podeprze.
Stój w przygodzie, jak polskiemu człeku przynależy...
Bóg ci doda wesołości a ręce ukrzepi.
Wstyd nie przyjdzie, a gdy zaśniesz, dusza: świt!
Świt, świt, świt... [zawoła,

Skowroneczek z pod kamienia piosenek mam dość,
Jak ja będę przyśpiewywał, będzie zboże rość.
Bo piosenka moja każda szczeropolska wciąż,
Jeno oraj, jeno siewaj, jeno w snopki wiąż.
A pamiętaj o niewieście, patrzy ta z za łąk,
Piastuje ci mazureczka, nie popuszcza z rąk.
A pamiętaj o tatusiu, matusieńce swej,
A wejrzej też po kościółku w onej wiosce twej.
A pamiętaj, przyjacielu, o mogiłkach, wiesz...
Zagaiły je pokrzywy, wierzchem poszedł perz.
Pożałuj się ubogiemu, co podąża rad,
Od mogiły do mogiły obieżawszy świat.
Wiatr połami polatuje, siwa broda w pas,
Poleciały jego lata, jako liście w las.
Ano widzisz: lirę niesie, pod pachą ją ma,
Ptaszek tobie przyśpiewuje, on mogiłkom gra.
Bo wszystkiemu na tym świecie i aż za świat ten,
Coś przygrywa na zbudzenie, przygrywa na sen!
Coś przygrywa, przyśpiewuje: wiej, wietrzyku, wiej!
Od prawego do lewego hej! po świecie, hej!

Do poezyi.

Piękności wieczna, której wdzięk cały
Ze świata złoży się końcem;
Dla której czarów niema dość chwały
Ni lutnia złota, ni marmur biały,
Ni żadna siła pod słońcem —
Co wiek to inna, co czas odmienna,
A zawsze pełna uroku;
To jak dzień jasna, to jak noc senna,
To raz płomienna, to raz promienna —
W zdziwionem jawisz się oku.

Gdy hełm twe boskie otoczy skronie,
A miecz twój błyśnie, dziewico,
Kiedy w proporzec wicher powionie, —
Szlachetnym dusza ogniem zapłonie,
Rycerze bronie pochwycą.
Tarcze a ciężkie miecze ostrzone
W zwycięskich prawicach brzękną,
I murem piersi zwrócą się w stronę,

Gdzie im ukażesz łuny czerwone,
Zwycięstwo albo śmierć piękną.
A gdy walczący, ugodzon strzałą,
Śmiertelną odniesie bliznę;
Ty mu oblicze rozjaśnisz chwałą,
Ty mu odsłonisz wolną i całą
Jego rycerską ojczyznę.

Męskiego serca ostatnie tętna
Z dźwięki ożenisz srebrnemi,
I nie ogarnie noc niepamiętna
Tego, co wielkie na ziemi.

W oziębłych pieśń twa wznieca pożary,
W płomień zamienia chłód lodów,
Rozrywa pęta, wali świat stary,
Tłumy rozprasza, łamie sztandary,
Poezyo! matko narodów!

Ty męczennikom pod ręką kata,
W konania bolach śmiertelnych,
Otwierasz bramy wiecznego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża odlata
Do boskich krain weselnych.
Ty im przybliżasz harf słodkie szmery,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarń w szczęśliwe sfery
Ty wiedziesz czyste łez bohatery,
Poezyo! wiaro narodów.

Ty na mogiłach w prostej legendzie
Duszę utulasz znękaną;
I łza na rzęsach wieszać się będzie,
Jak na domowych kwiatach na grzędzie,
Gdy słońce zajrzy tam rano.
Ty senne męże do dziennych trudów,
Budzisz do świętych zawodów;
Poezyo wielka, tyś prządką cudów,
Ach! i *nadzieją narodów.*
Wróg miecz odmiata twym czarem tknięty,
Wesele ciągnie przestworzem
I pokój schodzi poważny, święty,
Żagiel pomyka powiewem wzdęty
I łan pokrywa się zbożem.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki;
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je ziści daleki.
Ty wszystkich czarów tajnym wyrazem,
Pełnym twych piersi organem
Przemawiasz: struną, barwą i głazem,
Pługiem rolnika, zbroi żelazem
I gwiazd rozsianych wszechplanem.
Dłoń twa na morze olej rozleje

W czas ślubnych świata obchodów,
Rozszerzy wzroki, sprostuje dzieje.
I świat przez ciebie rozbłękitnieje,
Poezyo! prawdo narodów!
Ty niepojęta, a wiecznie czynna,
Wybranych swoich w znak cześci,
O! ty przejrzalna o! perło-płynna,
O! ty krwi żądna, o! ty niewinna —
Rozświecisz w złotej powieści.

Ty jednem skrzydłem wzrok nasz pielgrzymi,
Pociągasz w górę ku niebu,
Drugiem, gdzie chata w jarach się dymi,
To lirę trącasz z struny złotymi,
To wielką harfę Horebu. —

Zwierz na codziennym tuczy się chlebie,
Duch w nieustannej rozterce,
W twórczości pięknej, na ziemi, niebie,
W dziełach szlachetnych poczuwa ciebie,
W wiekach istnienia o serce.
Ty nad pobladłem wygnańca czołem
I nad ostatnią sierotą
Ciszę pogodnem roztaczaj kołem,
Ty żywych życiem — ruin aniołem,
Ze świateł tęczą swą złotą.

Święćże się piękna, lećże straszliwa,
Uderzaj w struny i w gromy,
A niech twa tęcza wilgotna spływa
Na kraj ten sercu znajomy,
Kędy dzień każdy łzami się znaczy,
Gdzie tyle nędzy i cnoty,
Tyle uśmiechów, tyle rozpaczy,
Tyle nadziei — tęsknoty.
Niech twoja wstęga siedmiu kolorów,
Nim kiedyś wyjdą na wolę —
Dołem tych smugów, wierzchem tych borów
Zatoczy jasne półkole.

SEN.

Jaki sen dziwny: że płynąłem w trumnie
Po wielkiem morzu, o zachodniej dobie,
A tyś od brzegu spoglądała ku mnie
W grubej żałobie.

I tak płynący na umarłych nawie
Ku tobie pereł wyciągałem sznurki,
A w chłodnym wietrze pod zachodnie chmurki
Leciały żórawie.

Żal mnie ogarnął i wraz błagać pocznę,
By mój przewoźnik zawrócił ku skale,
Lecz już nie widzę tylko chmury mroczne,
A ciebie wcale.

Mgła się przetwarza w ciemności okrutne,
Że już nic więcej oko nie dostrzega,
I tylko słyszę, że łódź wciąż odbiega, —
Smutneż to, smutne!

Na oczach moich położyłem dłonie,
I jakem klęczał, upadłem na deski
Prosząc: Ach, otocz skrzydłem moje skronie,
Ptaku niebieski!

Aż on mnie głosem twoim odpowiada:
Zobaczysz jasność pogodnego nieba,
Kędy ci serca nie zakrwawi zdrada,
Lecz pierwej umrzeć trzeba!

Własna cię matka podejmie na ręce,
Do snu złocista przygarnie koleba,
Odczujesz radość, uśmiechy dziecięce,
Lecz pierwej umrzeć trzeba!

Wszystkie potargasz ciążące łańcuchy,
Ani ci braknie miłości -- ni chleba,
Zobaczysz wolny kraj i wielkie duchy,
Lecz pierwej umrzeć trzeba!

I sen się skończył; budzę się, a w okno
Rzęsistym deszczem nocna burza siecze,
I jak te szyby oczy moje mokną,
Z których deszcz ciecze.

Indulgencya.

Widziałaś liście, jak w późnej jesieni
Zieloną barwę zmieniają w czerwoną
I więdną wtedy, gdy najbardziej płoną;
Jak liść -- tak ludzkie uczucie się mieni.

Widziałaś gwiazdy, gdy na ciemnem niebie
Najżywiej świecą, gdy się w przepaść miotą,
Zakreślające na własnym pogrzebie
Ognistym pasem pyszną wstęgę złotą.

Widziałaś falę, gdy się w przepaść rzuca
I na swe grzywy blaski bierze słońca;
Słyszałaś echo, które pieśń ocuca,
Na złotej harfy strunach konająca.

Wszystko tu piękne i wszystko tu smutne:
Zgon liści, gwiazdy, fali i muzyki;
Więc próżne jęki, przekleństwa i krzyki,
I próżne skargi na losy okrutne.

Tak być musiało i żadna tu zdrada;
Uczucie twoje, gdzie twoje uczucie?
W powiędłym liściu, w konającej nucie
I w szumie wody, co w ocean wpada.

POWOŁANIE.

Rzuciłem muszlę na dalekie fale;
Innym, o piękna, śpiewaj swoje żale:
Gdybym ja wszystkie — nie, choć cząstkę małą
Powierzył tobie, wątłe twoje ciało
Pękłoby w szczątki i rozprysło w ręku
Od tego w ciszy tajonego jęku.

We mgłach nadmorskich ujrzałem daleki,
Cały świat grecki, wszystkie dawne wieki;
Tam na rydwanie o spienionych koniach
Automedon lejce dzierząc w dłoniach,
Pyłem okryty, śród oklasków gromu,
Przepędzał wichrem koło hipodromu.

W oddali Fingal płynął w deszczu chmurach,
Płaszcz rozdzielając na Morwenu górach;
Na wzgórzach dęby poszumiały płowe,
Osty grobowców grały smutnym szmerem,

Harf kaledońskich struny kryształowe
Rzucały długą pieśń za bohaterem;
W odwiecznych lasach przez zimowe chłody
Błyskały tarcze i stąpał duch Lody.
Lutnia Homera i harfa Ossyana
Porozwieszały te fatamorgana;
Znikli, — nie dla mnie...
Innego piastuna
Ciągnie do siebie harfa złotostruna...
Minezengery ku czci pięknej Miny,
Trzęsąc włosami, szły Germanii syny.

Z jakąż to dumą przed świetne balkony
Szczęśliwy staje śpiewak uwieńczony,
Świadków szukając upojonym wzrokiem
W kole rycerzy i dziewic szerokiem.
W mych oczach nowe rozniosły się czary:
Obronne zamki i gotyckie fary,
Gdzie lekką stopę stawiając na głazie,
Piękne królewne szły śród świątyń cieni,
A końce szat ich złote niosły pazie;
Świat jak z żelaza cały i z kamieni,
Tysiącobarwy; pstre odzieże, stroje,
Zbroje na piersiach i szarfy przez zbroje.
Z cieni kościoła cichy głos nieznany,
Towarzyszący tajemnej ofierze,

Tak mnie porywa, tak za serce bierze,
Że ręka pragnie przycisnąć organy.
Pienia anielskie, o królu psalmisto,
I wy, co po nim śpiewaliście psalmy,
Słyszę pieśń waszą wzniosłą, uroczystą,
I że mnie duch mój indziej wiedzie, żal mi.
I jakiejż struny brzęk mi zawtóruje?
Z jaką wyśpiewam to, co w sercu czuję?
Duchu, co wiedziesz mnie po świata drogach,
Strunę mi podaj na wieczności progach.
Na wciąż chwiejącym się odłamie skały
Stoję nad morzem smutny i zbolały,
A wtem głos nędzy z pod wieśniaczej strzechy
Wyszedł i zimnem wskroś przeleciał duszę.
Zatarły prędko zasłuchanej w głuszę
Oliwne drzewa polskich sosen wiechy,
Morwen — i grodów zamki — i ratusze,
Chorągwie złote i mieszczańskie cechy.
Wam to, ubodzy, kantyczkę pociechy
Ja najuboższy wam zaśpiewać muszę, —
Wam pogardzonym, którym jeden śpiewa
Ptak, obywatel odwiecznego drzewa,
I wicher polny, co na węgłach chaty
Szumi żałośne chłopskie litanie,
I strumień czysty, co między łąk kwiaty
Z nutą kryształną toczy się i wije,

I owad złoty, co miód słodki zbiera,
I grom, co wstrząsa, jak głos bohatera.

Liro pastusza, ty, coś w Betlehemie
Witała Zbawcę, gdy zstąpił na ziemię,
Pójdź do mej dłoni; ja śpiewak ubogi
W wieśniaczej chaty zaniosę cię progi;
Z Bogiem i z tobą idąc między swemi,
Może znów zbawcę powitam na ziemi.

EWA.

Z błędnych widzeń czarownego koła
Cień dotyka skrzydłem mego czoła,
Nucąc pieśni dziecinnej prostoty. —
Lecz cóż powiesz? — próżno pamięć trudzę,
Co przyniesie, zabiera na loty,
I nie pomnę nic, gdy się obudzę.

Jeden tylko, pamiętam, raz jeden
Zagadniony: jak Bóg stworzył człeka,
W odległościach ukazał mi Eden.
Mgła przestrzenie okrywała lekka,
Wskróś przejrzysta, różowa i lśniąca,
Jak muzyka świat obiegająca.
A pode mgłą z pod wielkiego drzewa,
Gdzie spoczywał nasz ojciec rodzaju,
W blasku zorzy powstawała Ewa,
Najpiękniejszy kwiat wiecznego raju.

Więc ja cały zdziwiony i szczęsny
Z zagadnieniem coprędzej się spieszę:
— „Ewa, którą rajski wietrzyk czesze
I promieni okrywa deszcz rzęsny,
Tę Wszechmocny czy też stworzył z gliny,
Czy na prawdę ze śpiącego żebra?“ —
— „Nie — odpowie — Ewę, krzew jedyny,
Nie ze złota, nie z kości, nie z srebra,
Nie z brylantów i morskich korali,
Które wszystkie czas niszczy szyderca,
Z gniazda wiecznych radości i żali,
Z uśpionego snem anielskich serca.
Na skinienie Przedwiecznego woli
Otworzyło się Adama łono,
I Pan urnę tę podjął czerwoną,
Która, dziecię moje, tak cię boli,
I z niej wywiódł złoty krzew nad krzewy,
Postać wiotką pierwszej matki Ewy,
Ciszę wieczną na łzy, niepokoje,
Myśl źródlaną i uśmiech dziecinny.
Chceszli wiedzieć, gdzie jest serce twoje? —
Idź i szukaj Ewy twej niewinnéj.

To bijące twoje — tylko cieniem,
Przypomnieniem, żeś je miał przed wiekiem;

W tobie serce snem, gdy w niej istnieniem,
Ty i ona jednymście człowiekiem.“ —

I z tem słowem zniknął w zorzy złotéj, —
A mnie pamięć i wyraz tęsknoty
I chęć twego, o luba, widoku
Pozostały po cichej rozmowie.
Rękęm złożył wraz na lewym boku,
Serce świeci napół sennej głowie,
Lecz nie we mnie — daleko tam w niebie,
Tam, gdzie ujrzę, szczęsna moja, ciebie
Śród modrzewi i dębowych cieni,
Pełną smutku i pełną promieni.

Trzy kamienie.

(Podsłuchane z opowiadania nieznajomego).

Na pochyłości morskich tam wybrzeży,
Wprost wyspy Elby, daleko od miasta,
Dzieciątko moje pod kwiatami leży,
Które mu w grobek wsypała niewiasta;
Jedna z tych dobrych niewiast Antoniano,
Co się nad dwojgiem litowała nami
I pocieszała, że odszedł tak rano,
By się z naszemi nie znajomić łzami,
Że mu tam dobrze z aniołkami w górze,
U Matki Boskiej najkochańszych stopek;
I posypała mu zerwane róże,
A orszak w dali stał płaczących chłopek.
Czemu płakały? chyba że jak senny
Aniołek istny był w wianeczku z kwieci,
I żeby człowiek był chyba kamienny,
Gdyby na zmarłe zimno patrzał dzieci. —
Prawda, trumienki nie miało pacholę,

Więc i dla tego żal ich łzami wzbierał,
I że rodzicom anioł odumierał,
Który miał życia osładzać im dolę,
Rączkami matki obejmując szyję,
Jak biały powój, co się zboża chwyta;
Że przeczuwały, iż biedna kobiéta
Utraconego dziecka nie przeżyje. —
I tak mój Jasio wziął ze sobą róże
W mogiłkę chłodną, wśród ziemi Italów,
I długie jęki rodzicielskich żalów;
I ma swój głazik nad głowami w murze,
Na którym ojciec wypisał strapiony
Krótkiemi słowy żal niewymówiony.

W rodzinnym kraju, daleko za morzem,
Pod borem, kędy sosny piasek ciemią,
Jedyna moja spoczywa pod ziemią...
Wonna, rodzinna ziemia dziś jej łożem,
Cierń grób otoczył i ostry jałowiec,
Którym się rade leśne ptactwo pasie.
I nie zachodzi tam inny wędrowiec,
Jak ptak i wieśniak w nieszczęśliwym czasie,
Gdy mu przychodzi nieść trumnę żoniną,
Ojca czy matki, dziecka, siostry, brata.
Na grób ten ciężkie łzy me nie dopłyną,
Których tak wiele po mych rzęsach zlata,

Westchnienia tylko wiatr przenasza wschodni
I westchnieniami o jej grób uderza.
Lecz próżno puka; żadne słowo od niéj
Nieutulonych żalów nie uśmierza.
Za całą życia smutnego nagrodę
Kamień jej dano szary, czworogranny,
Jak złote świece wyrosły dziewanny,
Co się tam chwieją w słoneczną pogodę. —

To dwa kamienie; a i ja, mój Boże!
Mieć będę kamień cięższy niż tych dwoje,
Choć nie w sarkofag głowę mą położę,
Gdy śmierć zakończy długie niepokoje.
Ani w Italii, ani tam w ojczyźnie
Nikt nie zatroszczy się o biedne kości;
O! bo ja bliźnich tylko znam po bliźnie,
I serca ludzkie znam po bezmiłości.
Grób więc mnie czeka jak ziemia obszerny,
Nie ozdobiony wymownem wspomnieniem;
I tak do końca braci mojej wierny
Na wieki spocznę pod ich serc kamieniem.

Na wierzbę.

Wierzbo ty moja, którą wiek on stary
Mianem przyodział najpiękniejszem wiary,
Przeto że pierwsza u wiejskiego płotu
Pękasz na powiew ciepłych dni powrotu:
Witam cię, drzewo, ty najmniej cenione,
Piasków Mazowsza jedyna ozdobo!
Ilekroć myślą zwracam się w tę stronę,
Na pustej wydmie wraz się schodzę z tobą,
Z twą rozwichrzoną spotykam zielenią
Nad wodą, w polu i przed chłopską sienią.

Pszczoła na ciebie nie zabiega skrzętna,
I chrząszczyk tylko twych się czepia liści,
A ty mi przecież najwięcej pamiętna
I ty mi jedna szumisz najojczyściéj.
Drzewino biedna, to raz rozżalona,
Kiedy się schylasz nad mogiłką szarą,
To raz żałośne z zbolałego łona

Tony ciągnąca pastuszą fujarą,
To raz na fale mej rodzinnej rzeki
Rozdzielająca włosy, topielico,
To oddalona od lasów opieki,
Gdy wściekłe wichry w szpony cię pochwycą,
O wierzbo moja, masz ty swoje wdzięki,
Drzewo najmilszej, rodzinnej piosenki!

Ileż to razy, ty prostaczko sielska,
Nim jeszcze białe pojawią się kotki,
Nim na obejściu rozwiną się zielska,
Ku tobiem ręce wyciągał sierotki!
Gdy — było — serce pieśni się doprasza:
Choćby mi przyszło cierpieć zemstę Feba,
Choćby mi skórę zdarto jak z Marsyasza, —
Za trochę pieśni, za kawałek nieba,
Jam po gałązkę bez gniewu obawy
Wierzbową sięgał — jużciż nie dla sławy,
Którą wielkości biorą na swe czoła...
Wierzbo, ty moja przyjaciółko z sioła,
Szarą sukmanką jak chłopka okryta,
Kiedyż cię moje oko znów powita?...

Wieniec pamiątek z twoich liści wiję,
Znajoma moja od dziecinnych latek:
Mikołaj święty z tobą na wilię

Puka w okienko, zaziera do chatek,
A rózga w ręku na niesforne żacze;
Przecie mnie twoje nie dosięgły prątki,
A miasto rózgi bywały kołacze...
O, wy rodzinne, serdeczne pamiątki!

Palmo Mazowsza, któraś nam wesele
Niosła na każdą palmową niedzielę,
Kiedyż cię polskie dzieci znów pochwycą
I pieśń zanucą: „Witaj nam, rodzico,
Ojczyzno nasza!“...

Na zaśnieżonem w zimowej zamieci
Szerokiem polu, ty wierzbo uboga,
Oczom wieśniaka zabłąkanych dzieci
Wskazujesz jedna, gdzie do wioski droga.
Niebaczny chłopek siekierą cię zatnie,
Sukmankę twoją ciężki wóz zatarga:
A ty na piaskach, jak milcząca skarga,
Stoisz na krańce spędzona ostatnie.

Na twych ramionach, pod tą ciemną gwiazdą,
Pod liści wiecznie szarpanych siermięgą
Kołyszesz wróbla biedaka też gniazdo:
Wybiórki świata pod tobą się lęgą.
Bądźże ty w mojej piosence sławiona,

Której nie słucha nikt i nikt nie ceni:
Bo moja stróna — hej ta moja stróna!
Jedno z drzew naszych szumem się tam żeni
Z chlupotem wody, gdy o brzegi w pędzie
Tłucze swe fale o srebrzystych grzywach,
Z jesiennym wichrem na rozległych niwach,
I nie z tem, co jest, — ale z tem, co będzie.

Moja srebrna złota.

Hej, słoneczko, coś powstało
Nad szerokiem morzem,
Czegożeś ty nie widziało
Na tym świecie Bożym?

Góry, lasy i jeziora,
Bujne zboża, knieje,
I to źródło u jawora,
Co wciąż wody leje.

Z jednej strony w drugą stronę
Cztery świata końce,
Wszystkoś, wszystko, wytoczone
Ty ciekawe słońce...

Nasze siewy, nasze zbiory
I prace i wczasy,
Nasze chaty, nasze bory
I góry i lasy.

Wszystko, wszystko na tej ziemi
Oczyma własnemi...
A teraz ja spytam ciebie
Na wysokiem niebie,
Czyś widziało tę jedynę,
Przez którą ja zginę?

Oj! gdybyś ją zobaczyło
Na zielonej błoni,
W szary obłok byś się skryło,
Pomyślawszy o niéj.

I ludzie by nie widzieli
Twojej srebrnej bieli,
Tylko szarą mgłę tęsknoty
Po mej srebrnej, złotéj.

Przypomnij!

Kiedy cię smutek całą upowije,
A ludzie w życiu zdradzą wiarołomni,
Wtedy, o luba, że przyjaciel żyje,
Przypomnij...

Gdy wiatr pod stopy twoje liść pomiecie
I wszystkim ciężkie straty uprzytomni,
Wtedy o sercu, zatułanem w świecie,
Przypomnij...

Kiedy zatęsknisz za rodzinną mową,
Za braćmi, którzy dotrwali niezłomni,
Na czole mojem gałązkę cierniową
Przypomnij..

Kiedy zasłyszysz w twe bezsenne noce
Głos, co twe imię wymówi najskromniéj,
Wtedy, o luba, serce to sieroce
Przypomnij...

Gdy się nademną dzwony rozkołyszą
I aniołowie otoczą ogromni,
Imię znajome nad grobową ciszą
Przypomnij...

Za kwiaty z ojczyzny.

Pomiędzy głazy, mogiły i krzyże
Poranny wietrzyk bujne trawy strzyże
I rosy obsusza łezki;
Zda się, że z blaskiem wiosennego świtu
W wieńcu ze słońca i w płaszczu z błękitu
Ogrodnik schodzi Niebieski.

Obiega skrzętnie każde grobu wzgórze,
Prostuje lilie, rozpowija róże,
Nad każdym chyli się listkiem,
Bo mu ten urząd czuły powierzono,
Żeby na grobach wciąż było zielono
I żeby czuwał nad wszystkiem.

Żyjący mają ozdobne pokoje,
Umarli — tylko te mogiły swoje
I trochę kwiecia w dzień wiosny.
A i te głogi, dziewanny i maki,
Płocho w żałosne zapędzony krzaki,
Targa przychodzień zazdrosny.

Wieczny im pokój! ostrzega dzień po dniu
Kamień grobowy. Wstrzymaj się przychodniu,
Nic się z tych grobów nie rusza;
Inaczej nocą do snu się przybliży
I o swe maki z pod grobowych krzyży
Smutna upomni się dusza.

I tak z przejrzenia niebieskiej miłości
Tylko te zmarłych spopielone kości
Przestrogi wydając rzewne,
Pewne są, że im kwiaty pozostaną,
Że nie odbierze świat, co raz im dano,
Bo żywych — wieńce nie pewne.

Girlandy łatwo dobrzy bracia plotą,
A jeszcze prędzej w nicość je pomiotą.
Sąd świata, wiesz, jak niestały,
Krystyno moja; — i czemuż ci śpieszno
Na skroń tę marną i na pierś tę grzeszną
Z ojczyzny rzucać kwiat biały?

Bądźże cierpliwa, aż się w cień zamienię,
W cień, w nicość, w jedno przelotne wspomnienie:
Wtedy swą ręką usłużną,
Niezapominek rzucisz mi kilkoro,
Których nie zdepczą mi i nie odbiorą.
Ale i wtedy... napróżno!

Przy tobie skromne niech zostanie kwiecie;
Bo gdzież mogiły poszukasz po świecie,
Gdzie krzyż, gdzie kamień, sztachety,
Gdzie jaki napis nad mogilną fosą,
Kędy z drugimi kilkorgiem poniosą
Kmiecego zewłok poety.

Zwiędła róża.

Jak na początku, przy dni ostatku,
Jak niegdyś młodzian, zachodzi dziadek;
A ty nie pytaj: skąd droga, dziadku?
Jakić sprowadza przypadek?
Jak służy zdrowie? i tym podobne,
Gdzie się bywało?... zużyte słowa...
Niech te szanowne pieniążki drobne
Łaskawość wasza innym zachowa.

Nic mnie nie pytaj o moje dzieje!
Na dworze burza, wicher szaleje.
Pozwól mi, siostro, przy twym kominku
Zasiąść w kąciku cicho, cichutko,
Dla odetchnienia, dla odpoczynku,
I nasze czasy przypomnieć krótko,
I w oczy twoje popatrzeć nieco...
Szczęścia, o! szczęścia chwile tak lecą,
Szlak się srebrzysty ciągnie za łódką:
To nasza pamięć...

Popatrz się w ciszy,
A wsłuchaj dobrze, bacznie, głęboko,
A ręka w rękę, a oko w oko,
To serce serce posłyszy.

Na długiem, tęsknem dni naszych polu
Dopotąd życia, dopokąd bolu...
Pozwól, niech twoje pobladłe liczko
Obetrę lekko z łzawej wilgoci.
O! moja dobra, dawna siostrzyczko,
Otóż my razem...
Poranek złoci
Wasze Dębinki; lasy po lewéj,
Po prawej dworzec jeszcze pod mgłami...
I Cypryan z nami, Ksawerek z nami;
Na czole igrzą ranne powiewy,
A wonne, świeże, — bo złe powstrzyma,
Pomnisz, Roch święty w płaszczu pielgrzyma.
Och! te wspomnienia, te czasy młode
Jakże wyraźne — późniejsze bledsze —
Roch święty u was święcił powietrze,
A w Głuchach święty Jan wodę.

Lasek, konwalii przewonne wonie,
Słońce majowe na nieboskłonie;
Hrynia i Krynia przy święcie biało,

Szeleszczą świeże muśliny w biegu,
W ogrodzie słychać ptaszynę małą,
A na jabłoniach kwiatu jak śniegu.

Parska mój konik w drodze ku Głuchom;
Gdzie Paulinka, Cypryan, Ksawery?
O! wieczny pokój przyjaznym duchom,
Już nic, już tylko łez szmery.

I tylko w sercu niezapomniane
Lasy rodzinne, zorzą rumiane, —
I tylko duszy co raz powróci:
To wierzba, co się z strumieniem kłóci, —
To paw, co na deszcz na drzewie krzyka,
I ta muzyka — co nie muzyka,
I te rozkosze — co nie rozkosze,
Domek — nie domek, a kącik z nieba,
I ten poważny głos: „tak nie trzeba",
I ten pieszczony: „a jak poproszę?"

Albo Natala, to polskie ptasze,
Której wciąż lica rumieniec krasi,
Co, choć nie mówi: „inne pogaszę",
Jak słońce gwiazdki pogasi.
Taka to była matusi córka,
Nasza poczciwa Mazurka.

A dziwny był to dni naszych ranek,
Żadnych kochanków, kochanek;
Tacy my byli — sam dziś nie wierzę —
Zaczarowani rycerze.

Różnie bo nami wiatr jakiś wieje,
To raz łagodny, to srogi, dziki, —
Bywają dzieje — nieśmiertelniki,
Bywają dzieje — szaleje.

Gdzie nasza, pomnisz, łąka wilgotna,
Zioła, opłotki, sosna samotna,
Obszary żyta, laskowe jary?
Siostrzyczko moja, czy to nie czary?
Jabym nie oddał za skarby świata
Puchu, co w myślach z kwiatów oblata,
Ani tej chłopskiej, biednej odzieży
Za bramowane złotem okrycia.
Kędyż, ach! kędy twój powiew świeży,
Śliczny ty, poranku, życia?

Nic już nie mówmy; zostawmy chwili,
Niech się przesunie pod chmurnem niebem.
Ach, ach! pamiątki — dym za pogrzebem,
Jakie my długie wieki przeżyli!
Czy ci wygodnie? pozwól, poprawię
Twoje węzgłowie puchowe;

Może, może ja za długo bawię?
Siostruniu, nie chyl tak głowę;
To smutne czoło, ta zimna ręka,
I żal ciążący ołowiem...
— No, mów, mów dalej! — Serce mi pęka,
I już nic więcej nie powiem.

— Zimno tu, prawda? nie opatrzone.
Wicher się wciska przez szpary,
To myślą wróćmy w znajomą stronę,
W ten wiejski domek nasz stary.
Patrz, jak zamarzły okienka szyby,
Niema dziś kwiatków dla bratków,
Ani konwalii, ani bławatków,
I słówko przepadło: „gdyby"...
Bo moje wszystkie piękne nadzieje,
Każdy kwiat marzeń, mój Boże!
Przy każdym wschodzie słońca topnieje,
I być inaczej nie może.

Bo to są kwiaty nie wiosny młodéj,
Pełne świeżości rozkwicia;
Roślinność taką wydają chłody,
Nie życie — zimny ślad życia.
Z tych kwiatów z mrozu, bracie, niestety
Umarłym wiązać bukiety.

I słowo w pięknych ustach zakrzepło...
— Nic, nic, już dobrze, teraz mi ciepło.
Połóż tu rękę pod moją głowę,
I mów, mów dalej; ja słucham ciebie,
Powieści dawne, powieści nowe...
„Gdybym ja była gwiazdką na niebie“...
I znowu cisza niezakłócona,
Tylko w kominku syczą bierwiona,
Jakby to w ogniu wilgotne drzewka
Wypowiadały na piosnkę „veto!“
Więc druga, trzecia ciągnie się śpiewka.
Coś marzy senną; jeżeliż nie to:
„Gdy po deszczu, po majowym,
Wstęga tęczy szybko spłynie,
To ja w gaiku“...
Trudno jej słowem,
I tylko ręką na „dość już“ skinie.
— Gdyby fortepian, jak to u mamy;
Pamiętasz przecie pieśni bez słowa?
Mendelson, rosa, noc księżycowa,
Albo na chmurkach tęczowe bramy,
I woń rezedy i ową ciszę,
W której się marzeń geniusz kołysze
Na czarodziejskich falach tęsknoty?
— Skończ już, ach skończ już, bracie mój złoty,
Jużbym nie mog.a, choćby i zdrowa,

Sercu tak przykra ta pieśń bez słowa;
Za tłumem dźwięków ciągnie się dusza
Na puste brzegi osierocone.

I znowu cisza — i znowu głusza,
I słowo: „pod twą obronę.“
— Odpocznij, proszę; o tęczy złotéj
Wspominać będziem już bez tęsknoty.
Gdy jaśni, chłodni, jak te obłoki
Po wszystkich żalów pogrzebie...

— Ach nie! na Boga! cóż mi po niebie,
Jeśli aniołów wciąż chłodne wzroki
Żadne cierpienie nie wzruszy?
Jak tam żyć duszy?

— Kto jak ty śpiewa: „pod twą obronę“,
A w słońce patrzy przeze łzy słone,
Łuk siedmiobarwny na cieniach burzy
Pokój mu w duszne sprowadza cienie,
A czyje serce prędko się znuży,
A kogo zwalczy cierpienie...

Ręka jej z mego wypadła ręku,
W sen się zatacza ta moja chora...
Żegnaj mi, złota struno, bez dźwięku,
Żegnaj mi, różo, z przed wczora...

Na wigilią.

Tak po latach trzydziestu, w swe rodzinne strony
Powraca wierną myślą Mazur utęskniony,
Pocieszając się rady, że z swymi zasiędzie
Przysłuchiwać się onej prostaczej kolędzie,
I podziwiać tę szopkę, przed którą śmierć hula,
Ciągnąc bez miłosierdzia i Szmula i króla,
I kędy tak ochoczo przed Najświętszą Matką
Dziarski hułan z niebaczną skacze Małgorzatką,
A za nimi w też tropy, wesołymi susy,
Z olejkami do szopy wpada Węgrzyn kusy.

Węgrzynek, Małgorzatka, do ubogiej strzechy
Dzieciąteczku Świętemu wbiegają na śmiechy
I onej Matce Boskiej i Świętemu Dziadku.
Lecz gdy śmierć za Herodem przychodzi w ostatku,
Toż dopiero historya pełna ciekawości:
Kiedy to ona pocznie piłować mu kości,
Aż łeb w sobolej czapce urzezany zleci,
Wtedy to radość wielka w gronie wiejskich dzieci.

Ach, Boże, bardzo piękne, szkoda że tak krótko:
A jaki śliczny Józef z konopianą bródką,
Albo Najświętsza w sukni ze złotym obszlagiem,
Albo wołek, klęczący nad dzieciątkiem nagiem.
Wszystko piękne i zacne — Na szopkę z przedsieni
Patrząca — pomnę — siostra jak mak się czerwieni,
Podziwiając figurki, a w głowinie swojéj
Już drugą Matkę Boską w złotą suknię stroi.
Piosenki szumią wdzięczne — albo jak się uda,
Niema takiego w świecie, coby robił cuda.
Dosyć, gdy wszystko szczęsne, nieudane, hoże,
Kożuszkowe, parciane, a jakieści Boże...
I tak to czas ubiega, a po czasu kęsie
Dziad po grosze wychodzi i torebką trzęsie,
I gwiazdka idzie dalej, chłopcy kołacz kruszą,
Boć tam pewnie do dziś dnia z szopką chodzić muszą,
I na wilią przyjaciół gromadzi się nieco...
Do was tam myśli moje jak jaskółki lecą,
Lecz że to zima ciężka, więc skościałe w biegu,
Zanim do was dolecą, konają na śniegu:
A wy zaś, nie widzący ptaków w swojej sieni,
Myślicie: on zmieniony? Ej! on się nie mieni,
Tylko ginie w tle ciemnem śród głębokich cieni.

Przyjacielowi W. D.

Gdybyż to można w pośród was i z wami
Choć aby jeden przeżyć szczęsny dzionek,
Słuchać, jak świszczą żółwie nad błotami,
Jak na wieczorny pacierz dzwoni dzwonek:
Z fuzyą przez plecy, z przyjacielem w parze,
Zakopcić fajkę powracając w domek,
I uchem strzelca łowić po obszarze
Derkaczów krzyki i ciągnienie słomek;
Oddychać wonią wieczornej wilgoci,
Co od łąk naszych po przestrzeniach wieje,
A tam po chatach już się ogień złoci,
I ona szczęsna pustota szaleje;
Bydle poryka i rży konik młody,
Mrugają gwiazdy — a tyle ich w górze,
Starzy wieśniacy przysiedli w rząd kłody,
Siwe kapoty a czapczyska duże.
Hej, miły Boże! jakże by to błogo,
Z jakowym w sercu śniło się spokojem!...

Tak znużonemu potułaczki drogą,
Jedynem szczęściem sen o kraju swoim.

Rodzinna wioska, mętne Bugu fale,
Gdy się spokojną świat uciszy nocą,
W pośród gór włoskich, w tym Florenckim wale,
Rokicinami szumią a chlupocą.
I przez te ciemne, ponure cyprysy,
Co, jak chorągwie zwinięte pogrzebu,
Przed domem stoją, zda mi się — że Flisy
Ku Polsce ciągną, ku mojemu niebu.
Wypływa miesiąc ten sam, jednakowy,
Lecz mnie się zdaje, że to inne koło,
Że kiedyś piękniej świeciło na głowy,
Gdyśmy wpółsenne przebiegali sioło.
Albo nadedniem chylił się na skraju,
Gdy ziemia była w rosach wykąpana,
A białe brzozy pobliskiego gaju
Pod skrzydłem wiatru ruszały się z rana.
I słowik śpiewał w wiosce na jabłoni,
Jam Polskę marzył, a on śpiewał o niéj.
Pola i sady i ciche jeziora,
Po których panny ster prowadzą łódki,
Wszystko pamiętam na me większe smutki,
Jak gdybym wyszedł z tych okolic wczora.

I ty nazywasz pustynią, mój Władku,
Tę ziemię mgławą, zaciągniętą parą?
Ach, ku tej ziemi, ku mojemu światku,
Jakżebym pragnął ciągnąć tą Saharą!
Takbym wlókł nogi pobożnie o poście,
Jak niegdyś pielgrzym szedł do Jeruzalem,
Byle tam dowlec połamane koście
I spocząć długim unużony żalem;
Zapomnieć smutnej lat dwudziestu przerwy,
I chociaż chwilkę pomarzyć jak pierwéj.

Na łonie waszem, śród przyjaciół grona,
Możeby górnie brzękła lutni strona.

O nie, tam w kraju jużbym nie miał siły
Dotykać strony milczącej żałobą,
Prędzej sny wszystkie, co mnie unosiły,
Z goryczą serca wygrałbym przed tobą.

. . . . . .

Skąd tobie, druhu, o mojej snycerce,
O mem rzeźbiarskiem rozpowiadać dłucie...
Cokolwiek pocznę, wszędzie polskie serce
Jednego dozna czy w głazie, czy w nucie.
Wszędzie, gdy wzrokiem, co w głąb rzeczy pada,
Po pracy mojej przeprowadzi bacznie,
Duszę mu swoją śpiewak wyspowiada.

I szereg cieni pięknych snuć się zacznie,
I lipy wyjdą, co na swojej korze
Obrazki noszą, którem tam oprawiał,
A wszystko Bogu poświęcone — Boże...
Bom wszystko we łzach duszy mej pospławiał.
I ty się znajdziesz śród tych cieni, druhu,
Przy lirze mojej złotej cały w słuchu.
Wszystko odnajdziesz, bracie mój życzliwy,
I przyjaciela dawne serce chętne
I brzozy białe i ojczysto niwy,
Wszystko, co tobie i co mnie pamiętne,
Krainę całą po dalekie końce,
Ach! i nadziei nieśmiertelnej słońce.

Powracającej do kraju

Pannie A. M.

pod obrazkiem chaty polskiej.

Tak było prawie, jak na tym obrazku,
Do przyległego dom przytykał lasku,
I woda była, którą księżyc nowy
Posrebrzał, gwiazdy haftowały złotem,
Wszystko tak było... no to i cóż potem?...
Może mi wróci czas, kiedy w tych borach
Łowiłem echa pieśni zabłąkane...
Lub kiedym cyfry zacinał na korach
Na dębów tylko piersiach powiązane,
Bo w życiu miały każda iść swą drogą...
Może tam pójdę, — może spotkam kogo?
Ani nie pójdę, ni się spotkam z nikiem...
Ach! Boże!... tęsknoż mnie za ptaków krzykiem
I za tą wodą, co błysk, błysk na stawie
Wzrusza się, brzegi całuje kochane...
Moje wy polskie lasy, malowane...
No i cóż potem... sen, a co na jawie?

Jeżeli wracasz do owej zaciszy,
Do której duszy wciąż się tak zachciewa,
Chciej się zapytać, czy mnie tam bór słyszy
I czy się ku mnie wyciągają drzewa
Z błogosławieństwem a sosna ze smutkiem?
Czy o mnie kamień wspomina omszony,
Który nademną dumał tam malutkim,
A źródło perły sułło z drugiej strony.

On mi powiadał, że na mej mogile
Szary przysiędzie dumać tak przez wieki,
Poczciwy kamień — toż i mego tyle...
Cóż gdy nie może ruszyć się od rzeki,
On taki ciężki, a ja tak daleki...

O! z tym kamieniem rozgadaj się, proszę,
Bo on wie wszystko, z czem ja się tu noszę.
Na pożegnanie byłem przy tym głazie,
Gdy będziesz tkliwą, to może co powie,
A zawsze znajdziesz coś w głazu wyrazie,
Czem odznaczali się nasi ojcowie,
Chmurę na czasy nędzne, bezrozume,
I spokój wielki i wielką zadumę;
On różne rzeczy wie, lecz ciszę chowa,
Bo wie też, na co zeszły dzisiaj słowa,
Jaki użytek pstra gawiedź z nich krzesze...

Pokłoń się potem Pannie z Jasnej Góry,
Bo ja nie pójdę, votum nie zawieszę,
Srebrnego serca... chmury, chmury, chmury...
Ból strasznie długi i żal nieskończony...

Jak mnie te wszystkie w myśli grają strony;
Lecz pytam na co?... by z marzeń wiązanki
Łez nicią wiązać... wianki świętojanki,
I na fal rzucać wszystko to, co czuję,
A bydle przyjdzie, pochwyci i zżuje?

Wracaj, ptaszyno, na ojczyste gniazdo,
I mało z ludźmi, więcej gadaj z gwiazdą,
Śpiewaj i kochaj — a zapłatę za to
W sobie odkryjesz obfitą, bogatą.
Będziesz szczęśliwą, jeśli duszę twoją
Czary natchnienia związą i upoją.

One obecność, — choć jak nie wiem czarną,
W złote pieluchy otoczą, ogarną,
I nawet podłość zapomnieć pozwolą,
A łzy natchnienia — wierzaj mi — nie bolą.
Choć z bolów rodem są niebieską rosą.
Wezmą na ręce i w niebo podniosą...

Hej Boże!...

Pożegnanie.

Hej! Polsko ty moja! z dalekich wybrzeży
Za tobą zwrócony, ziemico Piastowa,
Powtarzam: ojczyzno kochana, bądź zdrowa,
A smutek na sercu mi leży.
Myśl moja za tobą z pod duszy wylata,
Jaskółką wylata pierzchliwa, skrzydlata,
I śnieżne jej Alpy na drodze nie staną,
Poleci swą drogą lat tyle deptaną.
Na Wawel zabiegnie — pokłoni się Królom,
Na pola zabiegnie — pokłoni się bólom...
Tu, owdzie, nad ziemią kochaną szeleśnie.
Sen miałem czarowny, śnię jeszcze, choć nie śnię,
I widzę ten wieniec, rękami dzieciny
Za wszystkie podany za krajem tęsknoty,
Ten wieniec wieśniaczy, najmilszy, jedyny...
Na jawie, sen mi się śnił złoty...

Witały mnie wiejskie dzieciątka jak ptaki,
I chłopek mnie polski uścisnął i chwalił,
Ej! lepiej nie słuchać... ja, bracia, nie taki —
Jam nigdy nie śpiewał, jam tylko się żalił
Z tą ziemią kochaną, pod śniegiem dziś całą,
Z tą brzozą płaczącą, z tym smugiem ponurym,
Z tą duszą ubogiej sieroty zbolałą,
Co patrzy za krzyżem, nie wiada za którym,
Bo tyle ich było!... — i cicha wymówka...
Do Boga się wznosi spowita we słówka
Ej! Boże — to moja piosenka!

Czyż za nią
Nagrody potrzeba? i jeszcze tak sutéj?
A tymże co będzie, co ręce im ranią
Okrutne moskiewskie kajdany i knuty?...
Oh! co mnie ten wianek — na czoło nie włożę —
Ojczyzna w niewoli... —. wianeczek weź, Boże...
Chleb czarny zabiorę, a soli ta bryłka
Wystarczy do końca, bo dni już nie siłka,
A drogę pielgrzyma przestąpi mogiłka —
I tak być powinno; gdy swoje wziął myto,
To rzucić już grobom tę głowę odkrytą,
Gdy w sercu nadziei tak mało, zaiste,
By w życiu na gody powrócił ojczyste...
Ej Boże!

I oto sen dalej się snowa...

Młodzieżym nie grono szlachetne otacza,
I anioł złocisty na piersi tułacza
Obniża się — Polska, snów moich królowa,
Najczulsze ramiona na uścisk otwarła,
A oko Jej płonie, a serce Jej bije...
I mnie tam mówiono, że Ona umarła...
I mnie tam mówiono, że Ona nie żyje...
Na własnem ją oczy zobaczył po latach:
Szemrała słowami, jak wietrzyk w Jej kwiatach,
I ogniem swych piersi owiała mnie w koło,
Jasnością rozbiła mych długich lat cienie...
O! teraz mi dobrze, o! teraz wesoło!...
Obawa przepadła — bezsilne zwątpienie...
O! teraz niech piasek ponurym tępotem
Upada na trumnę! niech noc się roztacza,
Widziałem ojczyznę w widzeniu mem złotem,
Tu usta złożyła na czole tułacza...
Ojczyznę!... Jej tchnienie na licu mem bladem
Uczuwam szczęśliwy... podnoszę ramiona,
I oto Jej niema!...

Z żórawi gdzieś stadem
Odbiegłem daleko, a ona gdzie, ona?
Gdzie oczu mych gwiazda, blask mego wesela?
Wiatr morski żórawie me skrzydła rozdziela —
Ej, Boże!...

Sen cichy przynosi mi jeszcze

Dwa cienie szlachetne z pod wieżyc Wawelskich:
Seweryn [1])... Poznaję oblicze to wieszcze,
I czoło zadumań tak pełne anielskich —
On, jeden, ostatni w chorągiew spowity
Śród bitew podartą, ostatni z poetów,
Co wzrokiem ogarnia ojczyste błękity,
A rymy z żelaznych układa bagnetów,
I lutnię swą stroi do niebios nastroju —
Ostatni wieszcz polski — mistrz lutni i boju...
A przy nim któż drugi? To mędrzec spokojny,
Co dłonie swe z dłońmi zaplatał Kościuszki [2])...
Dwa cienie ojczyste: pokoju i wojny,
Nad głową tułacza...
Hej! jakież tam wróżki
Wyszepcą: idź z Bogiem, idź z Bogiem! tak zawsze,
Na życie samotne, na łzy te najkrwawsze.
Ojczyzna cię swoim przyznała — idź śmiało! —
— Bóg zapłać, Ojcowie, Bóg zapłać! za mało...
Głos wiatr mi donosi, co wieje z za Tatrów,
A głosu nie zgłuszy huk morza, szum wiatrów, —
Ej Boże!...
Tam wiosna, tam śliczna gdzieś kwietnie
Roztacza swe czary, lecz mnie już nic do tych...

[1]) Seweryn Goszczyński.
[2]) Józef Brodowicz.

O, dość mnie, Aniele, czarownych snów złotych,
O pozwól mi teraz zakończyć szlachetnie.
Niech ręka, nim spadnie na piersi bezwładna,
Żelazną szablicą krzyż w wietrze zakreśli...
I niech już z mych oczu nie spływa łza żadna...
Koronę cierniową wytargnij z mej myśli
I pokaż mi gody, o których z Warszawy
Ptak złoty coś w ucho poszepnął — druh młody...
O, pokaż mi gody, o, pokaż mi gody!
Zbolałej sieroty wzrok dziki, ciekawy...
Rozedrzej zasłonę... ha, pokaż... ja ciemny,
Mnie oczy wygryzła niewoli łza słona,
Ja ślepy — nie widzę!... i tylko podziemny
Jęk słyszę okrutny z ojczyzny mej łona,
Pierś moja usycha pragnieniem swobody
I słońca, co w chmurach, wciąż w chmurach się chowa.

Przedemną rozlane rozległych mórz wody,
Na okręt wołają: Ojczyzno, bądź zdrowa!...

Z za chmury jesiennej miesiąca twarz blada
Po falach się morza roztrąca i łamie,
Od brzeżnych drzew listek, jak cicha łza, spada,
Dąb siwy z oddali wyciąga swe ramię,
Hej! do mnie, wy liście — na czoło pobladłe!...
Sypnęłyż się z brzegu i na wiatr się miotą.

Hej! do mnie lecące, na imię przepadłe,
Tu liście jesienne — za polską sierotą!...

Tam czarne mgły pędzą — tam fala się wzdyma —
Wzburzoneż to morze jak życie pielgrzyma!...
Bądź zdrowa, Ojczyzno! —
Po chmurnym przestworze,
Żeglujem, żeglujem w burzliwą noc ciemną...
Spojrzeniem chmurzyska przebijam daremno:
Promyczek gdzieś błysnął, daleki — Ej, Boże!

Nad grobem Ed. Wasilewskiego.

Oj, byłoż to, było, gdy w furmańskiej bryce
Paradował Mazur przez Grodzką ulicę;
Oj, byłoż to, było w same Boże Ciało,
Oko się cieszyło tą sukmanką białą,
Czerwoną czapeczką, na cal podkóweczką
I tą procesyją przed Panną Maryją.

Jak my to śpiewali z Wasilem we dwójkę,
To raz na wesele — to drugi na bójkę!
Wasilu, Wasilu, krakowskie pacholę,
Hajże na Zwierzyniec, z Zwierzyńca na Wolę!
A czapka na bakier — a mina zuchwała,
Żeby nas widziała nasza Polska cała!
Śliczne Krakowianki stroiły nam wianki
Za to serce dobre, za nasze śpiewanki.

Miodu butelczynę za ostatni czeski*)
Za Polskę kochaną! — krzyczy Wasilewski.

---

*) czeski albo dydek: sześć groszy polskich.

Stawiaj, chłopcze, drugą, by nie czekać długo,
Za ojczyzny zdrowie, mój święty Krakowie!

Ludzie się dziwili, jak się wiara ściska,
Od łez Wasilowi ociekły wąsiska.
Będzie Polska, będzie, Mazurze, Mazurze,
Przyjdziesz ty, Moskalu, na nasze podwórze!
Jeszcze po kapeczce, jeszcze po ostatniéj,
Terazże mi, teraz, po swojemu zatnij!

Wasilu, Wasilu, na twojej mogile
Z ptakiem się pożalę, z drzewem się pochylę:
Szkoda mi cię, szkoda, bo ot idzie pora,
Skóra pomarszczona jak na dębie kora,
Głowa do niczego, jeno ręka drząca
Na bratniej mogile starą lirę trąca.

Wstańże, stary druhu, bo coś trąbkę słyszę,
Narodowy pisarz w rejestra nas wpisze.
Otóż ci czapeczcka, otóż ci szabelka,
Otóż ci siodełko, szkapina niewielka.

Świeci miesiąc, świeci, koło niego koło;
Wasilu, Wasilu, hajże na Wesołą!...
Żeby jedno słówko od zielonej skrzynki!
Jeno bratki stoją i niezapominki.

A słowiczek śpiewa w oddalonej stronie
O twej Krakowiance, o Wawelskim dzwonie,
A do mnie powiada: bywaj, stary dziadu,
Temu dla pociechy, temu dla przykładu:
Jak się zboże sieje, jak pod ranek dnieje,
Jak szanują ludzie te boskie nadzieje
I te ciche groby i te dusze czyste,
Chmurne chaty kurne, pola porosiste...

Bohdanowi Zaleskiemu

na jubileusz od Mazurów

Przemowa.

Niech będzie pochwalony! witajcież nam zdrowi,
Zdrowia życzym naszemu panu Bohdanowi.
Siedzicie tu daleko, czas leci jak woda,
Ludzie się przemykają: już był, już go niosą.
Starzeją się, Tatuniu: jeno ziemia młoda
To się czerwieni pod pługiem, to świeci pod rosą.

Wszyscyśmy tu Mazury, jak nas Pan Bóg stworzył
I po lasach obsadził cudem swojej ręki;
Najpierw było nas mało, lecz się lud rozmnożył
I poszedł precz lasami aż do Ostrołęki,
Gdzie jest miasto Myszyniec, stolica Kurpika,
Mazura, który sobie łapcie robi z łyka,
I z fuzyjką po lesie przebiera za ptaszki;
Bo my Kurpiki, Ojcze, wszyscyśmy strzelaszki,

Narodek, co się przecie lada czem nie straszy.
A kiedy Szwedy przyjdą, to ich zjema w kaszy.

Są też tu i od Warki i Czerska miasteczka,
Gdzie się okrutna wieża nad Wisłą czerwieni;
A Wisła, silna woda, jest niemała rzeczka.
I naród też pokaźny, z samej Polski rdzeni.

Od stepu wiatrek wieje i po twarzy muska,
Pomięszały się wonie i polska i ruska.
Ludzie poswobodnieli... Przewodnik tabuna,
Rycerski ulubieniec, rozpędzony stawa —
Znać, że go doleciała Bohdanowa struna —
Oczy wytęża, słucha, ucha w wiatr podawa.

A wiatr z jednej na drugą stronę grzywą miota,
Jakoby też falami topionego złota.
Poznał... Po jego rżeniu wichry stepów suną
Za pieśnią, dobrej wieści serdeczną piastuną:
To wzgórkiem, to doliną wyrzucą, zaświecą,
Bohdanowi jak dzieci do ręku przylecą...

I tak od gór Karpackich po brzegi ostatnie,
Po Litwę i po Kijów niesiem delikatnie.
Ziemia się rozraduje i pojaśni lice...
Nasze rybki — dzieweczki, nasze przepiórzyce:

Hej dziadka — krzyczą — niosą, co ma złotą rękę
I oną osobliwą pod ręką lirenkę.
Jakiś to chyba święty... ognia nie trza niecić,
A Bohdanem nocami het po stepach świecić...

Najukochańsze zjawisko, lub czarodziej siwy:
Trzeba dotknąć samemu, doświadczyć — czy żywy,
Czy z obłoku złożony? — a patrzeć nań bacznie,
Bo tacy to umieją: staruszek na oko,
Ale gdy czarodziejstwa swoje czynić zacznie,
Wybije się, wybije wysoko, wysoko...
Ty go po ziemi szukasz, a on wyciął w górę,
Z góry na dół i w górę wymłynkuje z dołu:
Więc kiedy ty, prostaku, dziwisz się sokołu,
Aż on ci się we mniszą zamknie klauzurę
I tam pacierze gada, — ty za nim, a ony
Wtulił się starowina pod konary mchowe
I siedzi jak król w dębie, a coraz to głowę
Za swoimi obraca na step zadymiony...

Bracia moi, Mazury, oczu ten nie zawrze,
Ani te jego struny złociste przedzwonią;
Aż Archanioła ujrzy na Kijowskiej Ławrze,
A nad Polską białego orła i z pogonią.
Wtedy na weselisku zanuci najładniéj,
A będzie tego, będzie, nie na dzień, na dwa dni,

Ale na długie lata... Ojczulku nasz złoty...
Cisza... Bohdan coś ludzkiej nie dzieli ochoty,
Jeno po ziemi patrzy a wciąż głową chwieje.
Śpiewaku! zaś to nie znasz drogi po nadzieję?...
Niema Twego Józefa brata i pielgrzyma,
Nie masz Twojej Zofii i Adama niéma,
Kraj przeciąga chmurami, burze a obłędy,
Młodzież leci by lecieć, — nie pytając kędy,
A coraz to się czepia za cudzą sukmanę...

Prawda, prawda, śpiewaku, słowo groch na ścianę,
Ale nie wam to rękę odejmać od lutni:
Smutno — aleć bez pieśni jeszcze sercu smutniéj,
A k' temu i to prawda i naród wie cały,
Że jak tam pójdzie Polską, przez świata okłady,
Nad chatą ubogiego, kędy niema zdrady,
Anioł z lilią stoi w sukieneczce białéj,
I ona wieśna, szczera, rozchodzi się rzewność.
Wesołość na niedolę, wiara na niepewność.
Po tej stronie to będą wzgórza, a tam doły,
I szumne idą lasy, sosna w sosnę stare,
Tam żołny, tam świdrują zawzięte dzięcioły,
Tam się co ranek w szarą świat odziewa parę,
Że i popatrzeć błogo i przebrać się czasem
Ze statkiem za zwierzyną, z siekierą za pasem.

Hej! Pan Bóg święty z nami i ta Matka Boska,
Nie troskajcie się bardzo, wejrzyjcie weseléj...
Broda aż miło suta, prawdziwa dziadowska:
Ależ wam jeszcze latek Pan Jezus udzieli,
I ochota powróci luteńkę pokręcić.
Kiedy swobody święto będziecie nam święcić,
W całym szerokim kraju, dziadku siwobrody,
Chociażby na ramionach poniesiem na gody.

Siedzi ojczysko Bohdan — a lirę pogładza,
Raz brząka, a raz sobie brodę rozprowadza:
Lira to po śpiewaku, co umarł za Bugiem,
Po bardzo sławnym dziadu: ten ją miał po drugim,
A ten drugi po trzecim, co na widnym stepie
Przygrywał hetmanowi wielkiemu Mazepie;
A ten ją miał po czwartym, — i kto tam policzy?
Dość, że onej rad słuchał sam król Stefan w Siczy,
I gdy sławne spisywał wojsko w Baturynie,
Przy lirnika śpiewaniu siadał po godzinie,
I sam ją własną ręką starcowi podawał,
Co się już na wpół w ziemię wkopał i nie wstawał.

Dzieciaków się sypnęło, jak susłów z pod dachu,
Ukraińcy śpiewają o serdecznym Lachu:
Otóż my wygadali prostaków przemowę,
Nie pieśni, gdy dziś oko prędzej łzą nabierze;

Na to sprosićby trzeba lasy kalinowe
I ptaka, co na zorzę i na odwieczerzę
Śpiewa sobie co ranek, gdy jeszcze spią chaty,
I pod wieczór, gdy miesiąc wypływa rogaty,
Że aż się lasy trzęsą. A człowiek ladaco
Panu Bogu nie śpiewa, chociaż i ma za co:
Że łaska jego Polskę utrzymuje mocna,
Że choć wrogi wciąż biją, nie wybiją do cna.
Śpiewaj, śpiewaj, słowiczku, po lesie, dolinie,
Niech się na ciebie cieszą wiejskie gospodynie;
Lecz jeśli kiedy jeszcze Bohdan pieśń zaśpiewa,
Ucisz się, szary ptaku, z zielonego drzewa,
Bo nie tobie, prostaku, puszczać się w zawody,
Kiedy lirę pokręca Bohdan siwobrody!

CHŁOPEK

za pogrzebem Tadeusza Żulińskiego.

Gdy przyjdzie dobre, to chyba na krótko,
Poświeci się to i zwiędnie jak kwiatek;
Ot i znów kartka z żałobną obwódką,
Przenajśliczniejszy znów nam uwiądł bratek.
Któż teraz pójdzie do ubogich skoro,
Z pomocą często dla zgłodniałych grona?
— A cóż brał za to? — Co anieli biorą,
Jedno westchnienie z wezbranego łona.
Anioł prawdziwy, bo i postać cała
Tak jasna była, tak jakoś nie nasza,
Zdało się, świeca wchodzi do poddasza,
Gdy się w ubogim progu pokazała.
Co prawda, prawda, że był i podobny
Do Zbawiciela, gdy serce odkrywa...
Taka w nim była dusza sprawiedliwa,
I coś, co człowiek wydać nie sposobny,
Że gdy wyciągnie dłoń na powitanie,
Stoisz wpatrzony rzekąc: *nie śmiem, Panie!*

Przez całe życie, to albo pod strażą
Polsce się naszej przygląda z za kraty,
Albo posłusznie idzie, gdzie iść każą,
Gdzie powołają opuszczone chaty.
Pomiędzy lwowskie opuszczone domki,
Gdzie i choroba i głód często gości,
I temu ziółka, drugim chleba kromki
Rozdziela wedle swojej przemożności...

Więc też popatrzeć, co się owo dzieje,
A jak to trumnę nieść się ludzie proszą.
Oho! już idą, niosą, już wynoszą,
I śnieg ma widać serce, bo topnieje.
Hej! Tadeuszku, odszedłeś nas wcześnie!
A jaki śliczny leżał, jakby we śnie.
Jak Boga kocham, przecież człek pamięta
Różnych umarłych, ale takiej głowy
Nigdym nie widział Pana Jezusowej,
Bo to, powiadam, sprawiedliwie święta.
Tak, że się słowa przekręcają w szyku,
I coś ci szepcze jak własne sumienie:
Za świętych będziesz modlił się, grzeszniku,
Proś ty o swoich grzechów odpuszczenie,
Na tego patrząc, co ot w trumnie leży,
A nie trut słychać, jeno zagon świeży.

Dni temu parę z śmiertelnej pościeli
O braci prawił, co się w świecie tuła;
Bo to już taka dusza była czuła;
Za toż tam jemu zagrają anieli,
Ho, ho, zagrają... zagrają...

A jego ciało, które ziemia święta,
Ojczysta ziemia przygarnie troskliwa,
Niechaj spoczywa; ale dusza żywa,
Jak pamiętała, niech o nas pamięta.

Ponieśli trumnę, wicher śniegiem sypie...
I któż tam ciągnie? jaka moc go zmusza?
Chłopek wygrywa na lipowej skrzypie
Znany polonez wodza Tadeusza...
— A tyś tu po co? i za co muzyka?
— Ha cóż, powiada, grzebią naczelnika,
Więc do wypchanej wiórami poduszki
Chciałbym mu zagrać polonez Kościuszki.

Człek był rzetelny, takich by nam trzeba,
Cóż, kiedy wszystko mrze, co dobre w świecie...
Hej, co tam, prostak sam nie wie, co plecie,
I dalej ciągnie: Patrz Kościuszko z nieba.

A pogrzeb rusza ku miejskiej rogatce,
Śpiewają księża, dobry lud się tłoczy,

Na znaną piosnkę wiekowej już matce
Rzęsnemi łzami zapłynęły oczy,
Wicher poddyma, chmury mkną pod niebem,
Znajome nuty narodowe chwyta,
I pytać rada i trwożna nie pyta,
Za czyim, człeku, ciągniema pogrzebem?

Aż głos dolata tych, co idąc gwarzą,
Uczynków świętych licząc szereg długi;
Kiedyż się, — kiedy z nieba nam pokażą
Tadeusz jeden i Tadeusz drugi?

Więc grajek wiejski wraz opuścił smyczek.
Około oczu coś przeciągnął dłonią,
I gdy śpiewają i we dzwony dzwonią,
W cieniach gdzieś miejskich podział się uliczek.

Otwarty cmentarz widać już zdaleka,
Co życia kończy tę wędrówkę błahą,
A myśl ma ściga wiejskiego człowieka,
W sukmanie swej ze skrzypką pod pachą.

I kiedy piersiom tak oddechu trzeba,
Że je wciąż dłońmi przyciska drżącemi,
Coś mi się zdało, że Kościuszko z nieba
I nasz Żuliński podniósł się od ziemi.

Że to nie dymek niebieski łuczywa
Niedogasłego w oczach mi się snowa,
A polskich ludzi trzech sukmanka siwa
W ciemnych zaułkach ojczystego Lwowa.

Cisza... mogiłki, przemowy przebrzmiały,
I te na trumnę spadające grudki,
I tylko kamień od ziemi wkrąg białéj
Na wpół zatarte swe powtarza smutki.
Gdzieniegdzie wrony ponad murów szczerby,
Zimowe ptaki, rozsiadłszy się gwarzą,
Przypominając te moskiewskie herby
I czarne pany, co nam gospodarzą.

Na obchód pamięci Zygmunta Krasińskiego.

Nie żądajcie o Zygmuncie rymowej pochwały,
Miasto pieśni krzyknę, to nasz Orzeł biały!
Jagielloński ptak rycerski ze wstęgą przez łono,
Ze skręconą S literą, ode krwi czerwoną.
Przypatrzcie się dziwowisku, które wierzyć każe,
Że rozwinie się to ptasze, na polskim sztandarze,
I że będzie Orłem naszym, Orłem polskiej wiary,
Gdy się Polak rozmiłuje w swojej pieśni starej,
Głuchnącej dziś w zapomnieniu po swem tysiącleciu,
O wolności, Rajskim wiecu i Adamie kmieciu,
Gdy ze siebie cienie rzuci przy słońca pogodzie,
Gdy się męski duch odnajdzie w dziecinnym narodzie.
Bracia młodzi — nasi wieszcze, toć to Boże ptaki,
Prowadzą nas i prowadzą a górnymi szlaki...

Dziwnie wielkie sądy Boże, a kto je odczyta,
Za jakiemi gdzie górami biała zorza świta?
Może, kiedy utrudzeni widzim grot nikczemny,
Anioł krzyczy zawieszony z nad przepaści ciemnéj

Nicość, piekło — Polska wiaro, zawracaj na prawo,
Bij, żórawiu, w szare skrzydła, a wartko a żwawo,
Żyje wasza dobra matka. — Bracia, z takiem słowem
Spieszę ku Wam, duchem szczerym, do drogi gotowym.
W przyjacielskiem waszem kole światełko mnie nęci
Wieszczów polskich, a proroków tych świętej pamięci.

Hej zanućmy chorał stary — wiatry nie rozchwycą,
Głos pochodu z ziemi w niebo, pieśń: „Boga-Rodzico"

Hej zanućmy: „Jeszcze Polska", pokąd świętej wiary, —
Pokłon Wam a proste słowa niosę Lirnik stary.

PROŚBA.

Dzisiaj — czy jutro — gdy zapadnie wieko
Nad czołem mojem, które śmierć ostudzi,
Kiedy odejdę w tę podróż daleką
Od kochających i złośliwych ludzi,
Najspokojniejszy na to, co mnie czeka,
Gdym od współbraci gorszym był niewiele,
O jedno tylko proszę, przyjaciele:
Nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka!

Żadnych ja nie mam praw do nekrologu,
Ni do nagany, ani do pochwały;
Służyłem mojej Ojczyźnie i Bogu
Małemi siły, jako człowiek mały.
Szczęście mi gwiazdą nie świeciło dniową,
Anim ja zbrodnią zasłynął ni chwałą,
Wypowiedziałem jedno ciche słowo,
Które, jak ptaka w powietrzu przebrzmiało,
Między poziome zaliczone dźwięki,
Do których ludzka pamięć nie powraca.

Niech, jaka praca, taka będzie płaca:
Na wielkie skwary cień od Bożej męki
Niech i po śmierci pomaga mi błogo,
Jak strudzonemu niegdyś nade drogą.

O mojem życiu trzcina i sitowie
Coś opowiedzą od pobliskiej rzeki,
I ptak w języku swoim też opowie,
I obłok, który wiatr ponasza lekki.
Krzyż mi postawcie, po którym deszcz ścieka,
Jak łza sieroca na chaty w popiele;
Na to, co wielkie, podła psiarnia szczeka;
Żebym więc ciszę miał, o przyjaciele,
Nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka!

Ta lira moja, co nosiła wieści
Z ojczystych gajów, niechaj ze mną skona;
Niech nad nią orzech laskowy szeleści
I wierzba skrzypi z rozdartego łona.
Na połamane niech siada klawisze
Ptak, co odwiedza głuchą mogił ciszę,
I myszka polna, co się zbożem żywi, —
Słuchacze niegdyś pieśni mojej chciwi.

Ktoś inny po mnie na milszą nastroi
Nutę muzyczne ojczyste narzędzie;

Znajdą piękniejszą, — cóż im więc po mojéj?
Z drugim lirence mej dobrze nie będzie.
Dosyć mnie, dosyć na tym ptasim krzyku
I szmerze dzikich ziół na mogilniku,
Podłych zdaleka i pysznych zdaleka;
Polnych mnie pieśni kołysały chmiele...
Nie róbcież ze mnie wieszcza, przyjaciele,
Nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka!

Licha to wartość tej krzyczącej sławy
I wielka bieda wielkie nosić serce...
Proporcem bywać obcej sobie sprawy,
Raz być we chwale, stokroć w poniewierce.
Czyliż nie lepiej pomieszany z ludem
Zapisać życie jako wieśniak trudem,
Ciszą lub słowem, tem prostem zdawkowem
Błogosławieństwem, onem dobrem słowem,
Którego nie czci przeto ludzkie plemię,
Że jest nie z ziemi i spieszy nad ziemię?

Gdy wielkich wieszczów przepadają pienia,
Słowo to żyje niejedno pod strzechą,
Lecz i pod okiem Matki pocieszenia,
A we świat schodzi nieznaną pociechą.
Z prostym ja ludem niech się tak zjednoczę,
Jak z czystem niebem czystych wód przeźrocze,

Jak listek z listkiem ojczystego lasku,
Jak piasku ziarnko z wielkiem polem piasku;
Niech o mnie żadna księga nie wspomina,
Niech mnie ogarnie próżna sławy gmina,
O której dziejach po dniach pogorzeli,
Wicher zagrywa na fletniach z piszczeli.

O przyjaciele, ku dalekiej drodze
Z jedynym żalem od ziemi odchodzę,
Żeście mi kiedyś na to czoło z gminu
Uwili wianek z dębu i wawrzynu.

Ostatnie słowo.

Strudzony żeglarz do brzegu dopływa
Na kruchej łódce przez burzliwe morze;
Gdzieżeś? o piękna wyobraźnio, tkliwa,
Królu mój niegdyś, czy pogańskie boże! —
Pobladła szata, srebrną barwą lśniąca,
Przed prawdy wiecznej surowem obliczem,
A sława, sława, niegdyś tak nęcąca,
Czemże przedemną? — próżnością i niczem!
Czoło zorane ku ziemi się zniża,
Widomych kształtów czarodziejstwo kona. —
O Panie! w Twoje upadam ramiona,
I już nie widzę nic, nic — oprócz krzyża...

Część druga.

SĘDZIOWIE ATEŃSCY.

Poemat dramatyczny.

SĘDZIOWIE ATEŃSCY.

OSOBY:

Sokrates.
Xantyppa, jego żona.
Platon, Fedon, Kryton, Xenokrates — uczniowie Sokratesa
Anytos, garbarz, pierwszy archont.
Lykon, archont.
Meletos, poeta,
Asterofejos, komik.
Charis, hetera.
Lydya, jej służebna.
Rapsod.
Młodzieniec.
Słuchacz Rapsoda 1.
Słuchacz Rapsoda 2.
„ „ 3.
„ „ 4.
Starzec 1.
„ 2.
„ 3.
Kobieta 1.
„ 2.
„ 3.
Rybak.
Niewolnik.
Szewc.
Świadek.
Jeden ze słuchaczy w sądzie.
Strażnik.

Chor.

Archonci. — Świadkowie. — Lud ateński. — Ulicznicy. — Muzykanci. — Flecíści. — Niewolnicy. — Służba Aeropagu i więzienna.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

SCENA PIERWSZA.

(Plac w Atenach. — Rapsod ogląda piękne kolumny pałacu; kilku młodych ludzi w pobliżu).

RAPSOD.

Otóż mieszkanie możnego człeka,
Pochwalne głosy słychać z daleka;
Jak się tu piękny obyczaj święci,
Opowiadają słudzy, klienci.
Brama otwarta, cisza, pogoda,
Obfitość pańska i ład rozumny;
Ognisko wita starca rapsoda,
Który pod białe jońskie kolumny
Z pieśnią pochwalną wchodzi radosny,
Jako jaskółka z powrotem wiosny.

Żeglarzu, co tej pieśni posłucha,
Niech w rozpostarte żagle wiatr dmucha
I ze mgły słone fale oczyści, —
Kto czego pragnie, niech mu się iści.

Powieść się dawna kojarzy z nową;
Niosęż wam, niosę powieść domową.

Jako z zachodnią rozlaną łuną,
Na większą radość zwycięzców nawie,
Błękitnooka przegląda Juno;
Chmury nie chmury, a pióra pawie,
I taki piękny grecki świat cały;
W lekkim okręcie, przez morskie wały,
Atryda wraca do własnej niwy
Z doświadczonymi w boju Argiwy.

Wioślarze silni rzędami trzema,
Siekąc wiosłami nócą wesoło;
We mgły dalekie pierwsza na czoło
Wybiega nawa Neoptolema.
On, czy z puklerzem w boju, czy z radą,
Pierwszy się rzuca, mąż sławy chciwy;
Rumaki wodza w pędzie się kładą,
Nad pyłem błyska hełm długogrzywy;
Wszędzie on pierwszy, — Greków nadzieja, —
Syn Achillesa a wnuk Peleja.

Srebrzy się, pieni szumny szlak długi
Pozeidona boskiej uprzęży,
A myśl przyjazna czasu żeglugi
Rozjaśnia twarze rycerskich męży.

Igra z falami chór Amfitryty,
Nimfy, delfiny, podwodne dziwa;
Na pył rozbity, na fal błękity,
Tryton we srebrną konchę zagrywa;
Ze świata wieją powiewy świeże,
Febus żeglarzy bronzuje lica.

Piękna Helena przy nawy sterze,
Perła królewskiej Lacedemony;
Duma na czole, we mgłach źrenica,
Biała jej szata zwilżona, lekka,
Drobnemi fałdy od bioder ścieka,
Włosy przejasne, obfite, lniane,
Świecą z uwięzi w siatkę zebrane.
Jej boska, drobna rączka toczona
Po białe, krągłe widna ramiona;
Stopka się w lekkich sandałkach chowa.

Przed nią bursztyny i kość słoniowa,
Posążki bogów, cenne amfory,
Tkaniny dziane w przedziwne wzory;
A trójnóg złoty pyłem się bieli,
Garścią popiołu z ścian pogorzeli.

Na morze cisza zeszła głęboka,
Gdy głos podniosła błękitnooka:

„Na Ilionu murów popiele
Ogień dogasa, dym się rozwleka:
Spraw wielkich bogów ukryte cele;
A części swojej Pozejdon czeka.
Niechże zwycięsca hymny poświęci
Poległych mężów wiecznej pamięci,
A trójnóg bóstwu, którego sprawą,
Że wiatr przyjazny wieje za nawą,
Że śród burzliwych morskich odmętów
Grecy panami swoich okrętów.

„Z władcami niebios nie czyńmy targów;
Dość, gdy chwalebne niesiem wawrzyny,
Do Sparty jedni, drudzy do Argów,
Do brzegów Krety i Salaminy.“

Radośny okrzyk powszechnej zgody
Nad Helespontu rozległ się wody,
I puhar w męskiej zakrążył dłoni,
I trójnóg zapadł w bezdennej toni.

Z chłodnych pałaców bóstwa zbudzone
Wybiegły szczęsne nad fale słone
I, pieśń mieszając z pieśnią godową,
Menelajowe rozjaśnią lico,
Że burza przeszła nad niewolnicą,

I do swej ziemi wraca królową.
Więc Menelajos: „Oto odpłaca
Zeus nam, bracia, rycerskie boje;
Zwycięstwo z nami: Helena wraca;
Za nią pływały nawy pod Troję,
Kiedy z przedwiecznej wypadało rady,
Której wyrokom czoła poddajem,
Na zgubę Troi, chwałę Helady,
By chmury grzmiały nad Menelajem.
Za tej Heleny greckiej powodem,
A za gościnność spłaconą zdradą,
Na murach Ilium dymy się kładą,
A słońce nasze świeci nad wschodem.“

„Evoe Zeus!“ walka skończona, —
„Evoe!“ szumi nad fal przestwory;
Godowe czary królewska żona
Wypełnia winem z złotej amfory,
Nim wartkopióra sława poprzedzi
Powrót rycerzy w rodzinne strony,
Których wzrok ściga z pod hełmów miedzi
Brzegi ojczystej Lacedemony.

PIERWSZY SŁUCHACZ.

Kto może śpiewać zdarzenia, których sam świadkiem nie bywał?

DRUGI SŁUCHACZ.

Niechajby raczej cielice popędził z ulic ateńskich,
Które samopas po placach ciągną, na bujną roślinność.

RAPSOD.

Po długich latach, pod białą zorzę,
Rybacy sieci zarzucą w morze;
I oto — przebóg! — z krysztalnej groty,
Bogactwo świata nieznanej ceny,
Wraca ofiara pięknej Heleny,
Pozeidona trójnóg ów złoty.

Wraca szczęśliwie, lecz komuż z ludzi —
Próżno prostactwo nałamie głowy,
Próżno się biedzi, daremno trudzi, —
Komu poniesie trójnóg takowy?
Na długie spory, daleką stroną,
Odpowie pieśnią lekkie Nimf grono:
„Mędrcu nad mędrce!“ — Schodzili kraje,
Lecz się z żyjących nikt nie przyznaje.
Wreszcie czas przyszedł; wyrocznia boga
Za najmędrszego z całego świata,
Pozeidona godnym trójnoga,
Uznała Pytya mędrca Sokrata.
Miasto Kekropsa! chwilaż to błoga;
Z nim ja młodzieńcze przepędził lata,

Więc oczy szczęsną zachodzą rosą;
Jemuż przypadło? jemuż poniosą?...
Na chwałę mędrca strunę starganą
Wnet ci nawiążę w pogodne rano,
I rzucę ambrę na to zarzewie,
Na Pozeidona złote trójnoże,
Chwaląc to dziwne zrządzenie boże
I mądrość, która o sobie nie wie. (śmiechy).

PIERWSZY SŁUCHACZ.

Oto się wybrał z pochwałą!

DRUGI SŁUCHACZ.

Zaiste, w porę się wybrał!

TRZECI SŁUCHACZ.

Brzękadło godne przedmiotu.

CZWARTY SŁUCHACZ.

Dobrej ci nocy życzymy.

(wskazując na siedzącego na kamieniu niewolnika)

Starcze, ten oto niewolnik widocznie ciekaw twej ody.

(wszyscy wybuchając śmiechem, rozchodzą się).

RAPSOD.

O, lutni moja, i któż cię posłucha?
Na co im pieśni? na co myśl wysoka?
Ty, coś pod ręką starca Demodoka

Wzruszała serce boskiego pastucha,
Pójdź do mej dłoni! — Niewolnik ten stary,
Pewnie zamyślon nad nędzą człowieka,
Jeden oceni, lutnio, twoje czary,
Ulgi on serca od strun twoich czeka.
O przyjacielu, zadumany smętnie,
Dla ciebie przerwę na mych strunach ciszę;
Ty pieśń odczujesz, ty posłuchasz chętnie?
(dotyka ramienia siedzącego).

NIEWOLNIK.

Co gadasz? głuchym jak pień, nic nie słyszę.

RAPSOD.

Dalej więc idźmy na te brzegi morza,
Gdzie fale pędzą rozczochrane grzywy.
(do niewolnika)
Zbogaca ciebie Fatum, nie zuboża:
Zmysł utraciłeś słuchu — o szczęśliwy!
(odchodzi).

SCENA DRUGA.

(Plac jak w scenie pierwszej; słudzy Areopagu prowadzą wśród tłumu ludu świszczącego i krzyczącego okutego w kajdany Sokratesa; cały pochód przechodzi; pozostaje tylko kilka kobiet i komik Asterofejos).

PIERWSZA KOBIETA.

Co on zawinił?

DRUGA KOBIETA.

Wiadomo.

PIERWSZA KOBIETA.

Ale cóż przecie?

DRUGA KOBIETA.

No, nie wiem;

Ale coś pewno.

PIERWSZA KOBIETA.

Nie kradzież?

DRUGA KOBIETA.

A może będzie i kradzież.

Przyjrzeć się jego odzieży; płaszcza takiego poszukać.

Mówcie, co chcecie o sędziach: ptasznicy znają swych ptaszków.

Może i ściągnął prawicę na jaką błyskotkę cenną;

Wszakże on w możnych pałace jakby do siebie zachodzi.

TRZECIA KOBIETA.

I nie pokłoni się służbie i nie powita, jak trzeba,

Jak gdyby jaki wierzyciel po swe przychodził procenta

RYBAK.

Zda się, że mąż ten powierza złoto swe lichym płatnikom,

Inaczej bosą by nogą ostrych nie deptał kamieni.

SZEWC.

Jakież to złoto Sokrata?

ASTEROFEJOS.

Przędza zagadnień splątana.

MŁODZIENIEC.

Terezyasz w cieniach Tartaru wiecznie się nad nią mozoli.

ASTEROFEJOS.

A no, raz przecież ustąpi; gdzie spojrzysz, gdzie się obrócisz,
Włóczy się maska natrętna z swym półuśmiechem na ustach.
Czas przyszedł koniec położyć tragicznym zdaniom okrągłym,
Które brzmią w ustach dzisiejszych, jak flet przedęty fałszywie.
Sokrata dosyć już mamy. (do siebie)
Puścić go myślę na scenę.
To uwięzienie, łaskawco, taką się skończy komedyą,
Że nam śmiech Aten przypomni Homera starych Herojów.
Śród pięknej młodzi ateńskiej z łachmanów robi paradę.
Gdy brodę w czarze zanurzy, — winkiem albowiem nie gardzi —

A potem, rękę podniósłszy, okrągłe sentencye płodzi,
Po każdym takim bankiecie chaos mi w głowie pozostał.
Szorstkim językiem równości ludowej bramy otwórzmy;
Równość ten tylko rozumie, kto lud do obelg wzwyczaja.
To filozofia najprostsza i zrozumiała na rynku:
Kto śmiało powie: tyś podły, do swego wraz towarzystwa
Zobelżonego sprowadza i łączy piękne z nadobnem.
(do otaczających)
Chcecie posłuchać? słuchajcie; sprawę Sokrata objaśnię:
Skarga wielkiego Meleta inny ma powód tajemny.

PIERWSZA KOBIETA.

Jakiż? powiadaj, powiadaj!

(Kobiety otaczają Asterofeja).

ASTEROFEJOS.

Wdziękami słynna Xantyppa
I łagodnością humoru, także powściągliwą dłonią,
Wczora ze schodów przedsionka, z poza kolumny, z nienacka
Kocioł miedziany, cuchnącą napełnion cieczą po brzegi,

Na łyse czoło małżonka wylała, mocno krzycząca.
I jakiż powód był gniewu? zapewne zdrada w miłości,
Boginie bowiem za zdradę najmocniej się obrażają,
I tylko Zeus przebacza, sam poczuwając się nieco.
Czekajcie tylko cierpliwie: ku osłodzeniu goryczy
Stary wprowadził do domu żonę jednego z archontów,
Za którą słusznie Meletos zdrajcę do sądu pociąga,
Do małej chmurki dodając i drugich obłoków sporo;
I tak to razem zebrane w burzliwą chmurę urasta,
Z której, jak często się zdarza, deszczyk świat ledwie porosi. (do siebie)
Kłamstwo nie szkodzi; niech wierzą i niech się śmieją; rzecz na tem.
Obłoki go napoczęły, zaloty w rynsztok potoczą.
(głośno)
Meletos, damy łaskawe, słuszność ma wielką, — i koniec.

PIERWSZY STARZEC Z TŁUMU.

O, wstydzie wieczny, o hańbo! i to w dzień jeden po burzy,
Gdy jeszcze miasto porażki nie zapomniało Lizandra!
Mędrców do więzień prowadzą, młodzież się w orgiach przesadza,
Pijaków i rozpustników w rydwanach wozi po mieście.
Któż zgadnie, jakie niedole przyszłość gotuje nam ciemna?

ASTEROFEJOS.

Sprawa się pięknie zakończy Eurypida sposobem;
W potrzebie bóg się pojawi i cała spraw w łeb weźmie.

PIERWSZY STARZEC (do drugiego na przedzie sceny).

Baby na zioła chodzące cykutę noszą a noszą.

DRUGI STARZEC.

Daj pokój! co nam Sokrates? co się tu dzieje? cyt,
cicho! (rozchodzą się, każdy w swoją stronę).

CZĘŚĆ DRUGA.

SCENA PIERWSZA.

(Komnata w mieszkaniu hetery Charydy).

CHARIS (deklamuje przy wtórze lutni).

Szczęśliwym zda się i więcej nad bogi,
Kto, twarz w twarz patrząc, ruchy twe spostrzega,
Jak za słów brzmieniem uśmiech twój przebłogi
Na usta zbiega.

Miłości moja, wyższa nad pochwały!
Tłucze się serce i wyrywa z łona;
Nim oczy wzniosę, już mój głos nieśmiały
Na ustach kona.

Język martwieje, — myśl moja leniwa, —
Płomyk przebiega wszystkie moje żyły, —
W uszach świst słyszę, — oczy blask straciły, —
Mgła mnie opływa.

Zimny pot czuję wskroś po sobie całéj,
Dreszcz mnie przechodzi i drzy serce biedne;
Brak mi oddechu i, jak liść w upały,
Śmiertelnie blednę.

(składa lutnię na stole).

Szczęścia mojego utraty nędzny Sokrates powodem.
Miasto rzeźników, garbarzy, wnukby Milcyada był moim,
Pałac w Koryncie wspaniały i pyszne perskie kobierce;
Pochodniaby nam Hymenu towarzyszyła do łoża,
I chóry wdzięczne śpiewaków brzmiałyby moją pochwałą.
Milcyades za mną oszalał, w mych się ramionach kołysał,
Pokąd, o zemsto! — dnia tego ja nie zapomnę do zgonu, —
Mną pogardzono! — Hetera! — A Temistokles on wielki
Czyimże synem, sofisto? — a Tymoleon?... O zemsto!
Sokrates wstrzymał go w drodze, kijem mu wejście przegrodził

I otumanił, że za nim poszedł, jak owca, schylony.
Za chwilę przyjdzie Meletos, przyjdzie i Lykon i drudzy,
Wichry, którymi ja rządzę, wzruszając gniewu ocean.
Każden z nich jedną podrzuci drzemiącą ateńską falę:
Lykon rzeźników, Meletos młodzież, do gwałtów pochopną. —
Któż te tragedye wystroi i komu poklask przypadnie?
Jedna maleńka hetera. — Dalej! posłuszni geniusze!

SCENA DRUGA.

(Wchodzą Anytos, Lykon, Meletos, i po niemem powitaniu zajmują kręgiem stojące krzesła; później Asterofejos).

CHARIS (spostrzegając na twarzach zamyślenie).

O, Lykon, najwymowniejszy w pośród ateńskich archontów,
Cóż twoje czoło zasępia? strata na handlu z Sydonem?
Czy może okręt zatonął z ładunkiem drogich towarów?

ASTEROFEJOS.

Chórem z obłoków, o piękna, twą zaspokoję ciekawość.
(recytuje)
O, mgły szlachetne, przybądźcie poświęconego ocalić!
Bądź śnieżne szczyty Olimpu waszym są, chmury, noclegiem;
Czy wykręcacie z chórami Nimf tańce wdzięczne w ogrodach,

Które Ocean pod wodą w kraju kryształów rozwiesił;
Czy Nilu źródła nieznane strzegąc przed okiem śmiertelnych,
Urny powietrzne zdrojami wciąż napełniacie czarownie;
Albo się orszak wasz sunie po Meotydy kałużach,
Czy w śnieżnych wałach Miryantu... mgły, przybywajcie na pomoc, —
I ty, o Chaos potężny, — i ty, Sofistów języku!

CHARIS.

Objaśnij, proszę, zagadkę: — nowościm wielce ciekawa —
Czemuż te twarze tak długie i czoła tak pochmurne?
Zda mi się kury spostrzegać, gdy na deszcz stoją pod ścianą.

LYKON.

Sokrates w murach więzienia.

CHARIS.

Już uwięziony Sokrates?

MELETOS.

A cóż myślałaś? nie będzie?

ASTEROFEJOS.

Ciekawym kozła w kajdanach; jak minę głupią mieć musi!

GŁOSY (z ulicy).

Wielka jest matka Demeter, Hestya i Hermes i Ares,
Hefajst, Pozejdon, Apollo, Here, Atene, Artemis.

MELETOS.

Nasi to w sprawie Sokrata świadkowie spieszą do sądu.

ASTEROFEJOS.

Gdzie taka wielka obawa, tam źle z przedmiotem obawy;
Zeusie! za twą stolicę i jednej drachmy bym nie dał.

ANYTOS.

Jestbo się nad czem zamyśleć: w Atenach głupców nie braknie;
Żyją też arystokraci i parasytów chowają,
Którzy gotowi do bójki łacno wystąpićby mogli
I bitwę zacząć z sędziami przed dykasteryi przedsionkiem.

LYKON.

Pany go bronić nie będą, świadczy mym słowom Krotona,
A Pytagora konanie samotne widział Megapont;
Z panami wszystko skończone, i parasytów już niema.
Nie to, lecz wiecie, w Atenach jak odmieniają się wiatry:
Ledwc Boreasz powieje, jużci powraca Fawoni,

I Zefir serca rozczula, pokąd go Eol nie spędzi.
Niechżeby jaka zamieszka?...

ANYTOS.

Niechżeby jaka zamieszka?...

ASTEROFEJOS.

Obniżcie gniewu dyapason; niech się na śmiechu rzecz skończy.

LYKON.

W centrum puklerza trafileś przenikliwości oszczepem.

ASTEROFEJOS.

Ośmiać go w oczach publiki, z dykteryadami pomięszać;
W grotach, gdzie nikt nie zagląda, wiodących podłe rzemiosło,
W starych domów ruinach, gdzieś na przedmieściach cuchnących,
Niech bosonogi Sokrates w komedyi masce wystąpi,
Z worem skórzanym na plecach, winem mądrości napęczłym.

MELETOS.

Miecz wydobywasz drewniany z pochwy ze słoniowej kości;
Śmiech go nie zabił w teatrze lat tem pono trzydzieści.

ASTEROFEJOS (po krótkiej przerwie).

Śmierci mu życzę, to prawda, ale z ogólnych przeznaczeń;
W sądzie bym o tę nie wnosił.

MELETOS.

Tchórzostwo!

ASTEROFEJOS.

A może;
Ale są racye poważne, prosta uwaga: krew za krew;
I ta uwaga zakłóca spoczynek obywatelski...

MELETOS.

I styl komiczny wytrąca!

ASTEROFEJOS.

Tragiku! uderzaj mieczem,
Mnie zostaw truciznę żółci, spazmy powolne mych ofiar.

MELETOS (do siebie).

„Eurypides tragikiem!“ za mistrzem Platon powtarza,
„Ostatnim między wielkimi“ — zaciąłem zęby znieważon...

CHARIS.

O czem zamyślon Meletos?

MELETOS.

O nowej formie tragedyi.

CHARIS (do siebie).

Już ją ktoś inny wynalazł przy drżącym Dyany blasku.

Przy szmerze fontan ogrodów intrygę całą ułożył;

I role rozdał histryonom; zobaczym, jak się wywiążą.

MELETOS.

Trochę śmiałości, mężowie! kto się zająka, niech pierzcha,

Usłyszą nowość, zapewniam, i skargę, — ta Greków zadziwi;

Lis będzie z jamy wykurzon, z Aten przepędzim Sokrata.

ASTEROFEJOS (spostrzegając ruchy Meleta).

Stawiasz się wzorem snycerzom; w tem cię Ateny uwiecznią. (do Charydy)

W mieście Kekropsa posągów więcej, podobno, niż ludzi;

Rychło znaczącym ten będzie, kto nie odrobion w marmurze.

CHARIS.

Za każdy dowcip dwie miary boskiego płynu.

ASTEROFEJOS.

O to, to!

Niech żyje boska Charyda! — Bachu! miej ją w swej łasce!

Jednego tylko uznaję, innym wciąż łatki przyszywam.

MELETOS.

Obrażasz bóstwa, komiku.

ASTEROFEJOS.

Pozycya moja wygodna:
W Atenach jeden swobodny; wiesz, kto? no, trefniś publiczny,
Który obrazić nie może, ni obrażonym być może;
Ergo: pozycya się moja równa Zeusa pozycyi.

MELETOS.

Evoe, Asterofejos! wykręcaj kozły w powietrzu,
Tylko przyjaciół oszczędzaj — rozumiesz — tylko przyjaciół.

ASTEROFEJOS.

Jakżeby śmiać się z przyjaciół? to niemoralnie, niepięknie;
Niech sami śmieszą publikę; a któżby chleb im odbierał?

LYKON.

Arystofanes odrodzon.

ASTEROFEJOS.

Posłuchaj! Czem życie? niczem, proszę;
Ale co zdrowsze, czy płakać, czy śmiać się? — odpowiedz.
Zdrowszem jest śmiać się z wszystkiego, bo to nam życie przydłuża,

Życie przydłuża; dlatego i bogi wiecznie się śmieją.
Słyszałeś, żeby z nich który oblicze łzami zalewał?
Evoe Bacche! ja na dnie krateru prawdę spostrzegam.
Zdrowie wielkiego Anyta! (pije)
Pteleatikon per Dianam!
Na Styxu wody burzliwe! co za wyborna jagoda!
Zeus się takiem zalewał, gdy Here piorun mu skradła.

(słychać krzyki z ulicy).

MELETOS (z poza kolumn).

Gwar coraz uliczny rośnie, a ilość ludu niezwykła.

LYKON (do Meleta pospieszając).

Z przedmieścia najhałaśliwsza, i z innych ulic nie braknie;
Plac się zapełnia gawiedzią, wyrostki przodem, jak zawsze.
Dzień po dniu się to powtarza. — Nowy, być może, orator
Ciekawą ściąga publikę? Hippias wszystkiego sposobny,
Równie językiem zawracać, jak i krawiecką nożycą,
Foremne tworzyć obuwie, pierścionki, oraz pachnidła,
Mąż opatrzony geniuszem, z której go strony zagadniesz...

MELETOS.

Ze wszystkich ulic tłum rośnie; coś to nowego, ciekawość;

A kto silniejszy, ten lepszy, i drugim drogę otwiera.
Co karłowate, na barki siłaczy ludowych skacze;
Fala się rzuca na falę, po nieznaczącej przekracza,
Ta nieznacząca głosuje z pod lekkich stopek ludowych.
O, ho! ho! groźne coś słowa, i lud pięściami wytrząsa.

ASTEROFEJOS.

Może na kupkę się zbierze i popróbować coś zechcą?

MELETOS.

Gdyby tu z pól Elizejskich cień Peryklesa przyzwano,
Cień Arystyda? — co mówisz? wnetby ucichły te fale?

ANYTOS.

Co? Peryklesa tyrana? i może pięknej Aspazyi,
Tej o psim wzroku ateńskiej dykteryady? co jeszcze?
Meleja? Tyranów Aten kto nie zamilcza imiona,
Albo je w chwale podnosi, wiesz przyjacielu, czem pachnie?

LYKON.

Lud swoich wielkich obrońców laury wieńczy złotymi.

ASTEROFEJOS (do siebie).

Masz! otóż nowy pretendent do władzy złotego wieńca.

MELETOS.

Precz z tyranami; Ateny silne i wielkie bez rządu.

LYKON.

Ognia nam trzeba, hej! ognia.

MELETOS.

Prometej z kajdan rozwiązan,
Jeśli go Zeusu nie wydrze, w cieniach Tartaru poszuka. (Wrzaski uliczne wzrastają).

CHARIS.

Asterofeju!

ASTEROFEJOS.

Zwycięstwo!
Lud w tryumfalnym pochodzie, girlandy widzę odświętne
Na czołach tych Bryareów. — Grecka rzecz, prawdziwie grecka! —
Arystokratów spostrzegam, w długich się płaszczach pawanią;
Maski te jakby tragiczne, a patrząc z śmiechu choć pękaj!

ANYTOS.

W girlandy lud się ateński na sądy wdzięcznie przystraja,
Wyrokom swoim on nigdy piękności formy nie skąpi,
Kiedy uwieńczon skazanym kształtnie cykutę podaje.

ASTEROFEJOS.

Przez Zeusa! uroczystość któregoż z bogów Olimpu?

(po chwili)

Popiersie Arystofana ciągną śnieżyste rumaki,
Powolnie kroczą, z wędzideł obfite strząsając piany.
Zbliża się, zbliża wspaniale; tak nieśmiertelni wracają
Do wiecznej ludu pamięci. (do siebie)
Komedya, wszystko komedya!

CHARIS.

O, uwieńczona wielkości!

ASTEROFEJOS.

Pijak był; z dzielnych pijaków.

LYKON.

Któryż poeta nie pijak?

ASTEROFEJOS.

Spójrzcie! ateńscy bibosze:
Przed wóz laurami wieńczony narcyzy miotą i bluszcze;
Młódź nasza cała wybrana, arystokraty z pradziadów.

(Zgiełki uliczne oddalają się).

ANYTOS

Któż mnie o stronność pomówi? znają mą sprawę mieszkańcy,
I com dla miasta wycierpiał. O! nie zapomnę jutrzenek,

Które mą nędzę widziały, błagającego o wsparcie.
Gdym po ulicach tebańskich wyciągał rękę wołając
„Anytosowi obola! trzy dni Anytos nic nia jadł!“
Bogactwo wielcy złodzieje rozkradli, wszystko rozkradli;
Syn mi się jeden pozostał, Glaukos jedynak mój luby,
Ktorego bóstwa względami obdarowały od dziecka.
U tego lichy sofista swą gadaniną podstępną
Wiarę w potęgę mądrości i w naszą godność zachwiewa.
Krzywdym zapomniał, zapomniał moje bogactwa stracone;
Ale kto moją krew własną na drogę fałszu i pychy
Sprowadza, z tego Anytos skórę obedrze, jak z wołu.

ASTEROFEJOS (do siebie).

Zda mi się widzieć Apolla. — Meletos, strzeż się Anyta,
Żeby Marsyasza historyi nie chciał powtórzyć na tobie.

ANYTOS.

Oczyścić z śmiecia Ateny, zdrowe nam wrócić powietrze!

ASTEROFEJOS (do Charydy).

Garbarz oczyszcza powietrze: to znaczy, handel swój zwija.

CHARIS (do siebie).

Urzędnik śmiechu zda mi się jeden śród wszystkich poważny. — (Słychać z ulicy hałasy dzieci)

Cóż tam nowego? (Asterofejos wybiega i po chwili wraca).

ASTEROFEJOS.

Zwyczajem starym w Atenach, owcę białości przedziwnej

Popędza piękne pacholę, w girlandę świąteczną strojną.

Bez zarzniętego barana Zeus by nam zmysły pomięszał!

(Hałasy na ulicy oddalają się; Charis wpada w ponure zamyślenie).

ASTEROFEJOS (do siebie).

Coś tu na gromy się zbiera; coś niby walka z sumieniem;

Chmury na chmury nachodzą. (głośno)

Żegnajcie, mężowie prawa.

LYKON.

Dokąd?

ASTEROFEJOS.

Do sądów, mężowie, zająć swe miejsce najpierwszy.

(Wychodzi).

MELETOS (niespokojny.

Pewnym, że większość ludowa wota na czarny stół złoży,

Grajków najałem, by słowom podpomagali fletami;
Będzie to nowość przed sądem. — (wychyla puhar)
Nowość się miastu podoba.
(do Charydy)
Poniża wartość poezyi, śmiechem tę lutnię okrywa,
Rzucając w ciemną wątpliwość te nieśmiertelne imiona,
Które poezya okryła Olimpu przędzą złocistą.
Cóż na to, o Afrodyte?

CHARIS.

Ach pieśni!

ANYTOS.

Cięższa tu sprawa:
Dłuto i lutnia złamane, Ateny pieniądz bez stempla;
Lacedemona czy Persy, stempel — kto zechce — wykuje.

LYKON.

Ja skargę przed sąd ludowy na stałym gruncie oparłem. (Zasiadają w milczeniu naprzeciw siebie).

CHARIS.

Więc wszyscy zgodni jesteście i wszyscy jakby rozbitki,
Za stałym lądem zwróceni, którego słona wód przestrzeń,
Wciąż uderzając po oczach, co chwila widok przesłania.

ANYTOS.

Niech piękna Charis swą perłę na szalę sądu dorzuci,
Bądź nam wyrocznią, o piękna!

CHARIS.

Do Eleusis! do Delfów!
Niech stróże świętych tajemnic o ich powagę się troszczą;
Mnie serce bolem dotyka moich przyjaciół zniewaga,
Kiedy powiedzą, że „Lykon sierot się krzywdą bogaci“,
Kiedy powiedzą: „Anytos — to pęcherz wiatrem nadęty,
Orator, który napełnia powietrze próżnych słów brzmieniem,
Pochlebca ludu i fałszerz pokątny, w sprawach intrygant“,
Kiedy powiedzą, że „wielki Meletos wierszy głupimi
Tak zapowietrza Ateny, że wszyscy cierpią na mdłości!“
Kto? co? — uczniowie Sokrata! wiatr ich unosi nazwiska. (wszyscy trzej spoglądają po sobie).

CHARIS (z puharem w ręku).

Gdyby bogowie słuchali, co o nich wróble szczebiocą,
Kiedy po dziennych zachodach w wieczór topole obsiędą?
Asterofejos ma słuszność: na głębi krateru prawda!

MELETOS.

Górę Termopil, Tytany, zrównamy z ziemią, zrównamy;
Niech nam nią oczów nie kłują filozoficzni odstępce.
Precz z bohaterstwem Spartanów! (piją)

CHARIS (uszczęśliwiona, stawiając stopę na podnóżku).

Zawiąż mi koturn, Meletos!

MELETOS (pochylając się).

Takiemi depcą obłoki.

CHARIS.

W pałacu greckiej hetery jeśliż trybunał się zbiera?
Tu niechby tańce wesołe, . . *) Syren
Czoła kwiatami wieńczone, spojrzenia, błędne uśmiechy.
Niegdyś tak było w Atenach; Mars powypędzał boginie
I wielkiej Temidy stopa w nasze się progi przeniosła...
Obraza bogów, słyszałam, skradziono wielkie relikwie,
Ampółkę z świętą oliwą bogini miasta Pallady:
Skradziono miecz Leonida i Herkulesa maczugę.
Chodzą też wieści po mieście, że Pangejonu wodotrysk
Nieznana ręka zatruwa, zdechłe weń miotąc zwierzęta.

*) w rękopisie wyrazy nieczytelne.

ANYTOS.

To wszystko sędziom wiadomo.

CHARIS.

A więc te sprawy zostawmy.
Gdybym rzuciła pytanie, czy nie Sokrates zbrodnia-
Ale kto kocha Charydę? [rzem, —

MELETOS.

Wszyscy jej palą kadzidła.

ANYTOS.

Poza sprawami miejskiemi wiesz, czem Anytos? —
Trytonem:
Wszystkie dobędzie korale i perły z morskiej głębiny
Za ust Charydy korale i za czarownych słów perły.

CHARIS.

To mało. — A ty, prawniku?

LYKON.

Ja moją Temidę chłodną
W Areopagu zostawię i za włosami złotymi
Nowej Berenice w ślady po lekkim wietrze popłynę;
Zmienię się w błazna, wietrznika, szaleństw bez liku
popełnię.

CHARIS (do Melotosa).

A ty, i cóżbyś uczynił?

MELETES.

Ja? — podłość.

CHARIS.

Evoe, Melet!

MELETOS.

To, za czem cały świat goni i cześć i sławę poświęca.

CHARIS.

Więc pierwszy wieniec dla ciebie, więcej Charyda nie pragnie,
Spełnijcie, o przyjaciele, Pteleatiku kratery,
Wino i serce rozgrzewa i myśli spędza pochmurne.
Kto widział tyle krwi greckiej, w ulicach leżące trupy,
Komu codzienną się stała aż do zbrzydzenia tragedya,
Ten chętnie puhar wypróżni.

GŁOSY (z za sceny).

Obywatele, na sądy! —
— Sprawa sofisty Sokrata, dwie drachmy za plac wygodny!
Dwie drachmy za plac wygodny, kędy złoczyńca tak słyszan,
Jak trąba morska, gdy wejście swoje do portu ogłasza,
Dwie drachmy, obywatele! taniej zapłacić niemożna.

CHARIS.

Zwycięzców czekam; na wieńce wszystkie z mojego ogrodu
Bluszcze, laury i róże pod stopy wasze opadną.

ANYTOS.

Wolność, świątynia i prawo na naszych barkach spoczywa.

LYKON.

Łatwo ten pożar przytłumić, co jeszcze nie wzbiegł nad dachy.

MELETOS.

Żegnaj mi, żegnaj Atene!

(Wraca i szepce coś do ucha Charydzie, która się uśmiecha i uderza go po ramieniu. Meletos uszczęśliwiony wychodzi).

CHARIS (do siebie).

Ten nie zawiedzie, ni Lykon.

(Anytos i Lykon wychodzą).

CHARIS.

Wypędzą — albo obola sędziowie złożyć zasądzą
I milczeć, milczeć nakażą. Milczenia pewno nie zniesie.
O zgon obawa daremna; życie tak cenne przy końcu;
Starcy je ważą i ważą, i ceny znaleść nie mogą.
Mniejsza, jak dotkną włóczęgę, byle Milcyades zacierpiał. (po chwili)

Sprawa skończona, z pałacu ustąpią nudni ci goście...

Et, nudy! — spocznijmy chwilę, przespijmy sądzenia dobę;

Niech rzeczywiste fantazma zastąpią fantazma senne.

(kładzie się na łożu, a wyciągając rękę do stołu, na którym znajduje się lutnia, śpiewa półgłosem)

Śród fiołków, nenufarów,
W świecie kwiatów, w świecie czarów,
Chłodna, świeża wciąż się wiję,
Słońcem żyję, rosę piję.
A gdy Helios złotowłosy,
Przez błękitne mknąc niebiosy,
W morze swój zatoczy wóz;
Gdy Hymetu zmierzchnie szczyt,
Za orszakiem leśnych muz:
Na liść kwiatu schylam głowę,
Zwieram oczy rubinowe.
Cyt! cyt!

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Sala Areopagu kolumnowana; krzesło srebrne — wedle zwyczaju — dla obwinionego; po stronie przeciwnej trybuna dla oskarżających; dwa stoły, czarny i biały, do składania wotów. Za podniesieniem zasłony Areopag zaludniać się poczyna. Służba więzienna wprowadza Sokratesa okutego w kajdany, wskazując mu krzesło, którego on jednak nie zajmuje, i pozostaje stojący przez cały ciąg procesu).

PIERWSZY STARZEC Z LUDU.

Nie zajął miejsca mąż obżałowany.

DRUGI STARZEC.

Słusznie, jeżeli miejsce to zbrodniarzy.

PIERWSZY STARZEC.

Zważaj, widocznie ciężą mu kajdany,
Kiedy je zbiera, ogląda i waży.

DRUGI STARZEC.

Słychać na mieście wojenych trąb głosy.

PIERWSZY STARZEC.

Żal mi go, starzec, siwe włosy, bosy,
Zapomniał wieku i po lat ubiegu
Wyprostowany staje do szeregu.
Bespieczny, zda się, że matka Pallada
Swe niedotkliwe palce nań pokłada.

DRUGI STARZEC.

Takim był w boju pod krwawym Delionem,
W bronzowym hełmie z wieszadłem czerwonem;
Takim, gdy zdarte z nieprzyjaciół zbroje
Wieszał na zeschłych dębach Potydei.

TRZECI STARZEC.

Jeśliż wspomina dawne lata swoje,
Dębowe liście, bogactwo trofei?
Albo, jak świecąc tarczy krągłej stalą,
Pewny, że taniec dobre bogi chwalą,
Tańcował szczęsny, a bóstwa z obłoków,
Rade i mieczom i zwinności kroków,
Śmiały się k' niemu?

PIERWSZY STARZEC.

Trzydziestu tyranów
Pięciuset w radzie zastępuje godnie.

DRUGI STARZEC.

Ateny szczycą się nowością panów.

TRZECI STARZEC.

Nowi panowie, ale stare zbrodnie.

(Wchodzą Anytos, Lykon i inni Archonci; Meletos).

ANYTOS (zająwszy miejsce prezydyalne, do Sokratesa).

Jakie twe imię, ojczyzna, nazwisko?

SOKRATES.

Imię wam znane, ojczyzna — zwalisko,
Ruina wielka — o! smutna ruina.

ANYTOS.

Powiedz twe imię, sąd cię upomina.

(Sokrates milczy).

ANYTOS.

Otwarte sądy. (do Sokratesa).
Kto przestępcę broni?

SOKRATES.

Gdzie niema zbrodni, zbyteczna obrona;
W Areopagu prawda się odsłoni,
A z konającym zaiste nie skona.

ANYTOS.

Bogi Tartaru podziemne słyszały naszą przysięgę;
Furye piekielne a pomstę wzywamy na głowy nasze,
Jeśli się zadość nie stanie sprawiedliwości i prawu.

SOKRATES.

Jakoś przed wieki postąpił z Orestem,
Pod Apollina olimpijskim wpływem,
Areopagu, bądź tak sprawiedliwym,
I nie sądź innym mnie, jak tym, kim jestem.
Zarzuty płonne, słowa bez podstawy,

Rozsądek prosty pozna i oceni;
Zaiste, w sądach nie za takie sprawy
Stają przed wami więzy obciążeni.
Winę ja moją otwarcie wyjawię:
Oto, że w mieście śród fumu i szumu,
Śród głupich ludzi szukałem rozumu.
Skarzą mnie — o co? i na jakiem prawie?
O apostazyę, o obrazę bóstwa!
I kto? Meletos! — Śród obecnych mnóstwa
Gdzież z Eleuzis kapłan? niech mi wskażą!
Skarga złośliwych — złośliwą potwarzą.
Młodzieńca tego, dostawcy dzieł płonnych,
Hełm nie pokrywał włosów niestrzyżonych.

(po krótkiem milczeniu).

Czem byłem, byłem. Snycerska robota
Dłoń wzwyczajała od dziecka do młota,
Nędza do braku, do wytrwania śniegi.
Boso przeszedłem skrajne Grecyi brzegi,
Dzika z oszczepem ścigałem śród lasu,
Pociskiem licznych nieprzyjaciół w boju;
A całość mego i życia i czasu
Oddałem mędrcom, kolumnom pokoju.
Śmiercią mi znacznej krzywdy nie zadadzą,
Słuchu, jak dawniej, nie cieszę się władzą,
Oczy mi gasną na jutrzenki dniowe,
Zęby stracone tamują wymowę;

Kości się moje rozluźniły stare.
Mamże się troskać o nędznych lat parę?
Nie! Ateńczycy; przez miłość dla Greków,
Herojów ludu, sławę dawnych wieków!
Pedagog, duszy pomocny połogu,
Prawdy słów moich zaprzeć się nie mogę,
I gdy mi bóstwo wytyczyło drogę,
Posłuszny będę nie ludziom, lecz bogu.
Świadków gdzie znajdę? — odeszli niestety
Po falach cichej, niepamiętnej Lety. —

STARZEC 1. (podnosząc się z pomocą drugich).

Ja tobie świadczę.

GŁOSY.

Ten wieku półtora
Dźwiga na grzbiecie.

STARZEC 1.

Żyję nie od wczora;
Pamiętam perskie tyary i assyryjskich łuczników,
Indyan w płóciennej odzieży z długimi łuki z bambusu,
Aryanów, Kaspiów, koziemi skóry przez plecy wiązanych,
I Paflagonów w zbroicach, w łuskę do ciała przyległych;

A com w pamięci przechował, w cienie idący wypowiem.
Tessalia bogów słynęła konnem w potrzebach rycerstwem;
Tebanom pierwszeństwo padło między ludami Beocyi;
Sparta wydała tablice, prawem związała niesfornych;
Z Argos wypłynął dowódca wielkiej na Troję wyprawy;
Miasto Kekropsa Pallada mądrości tarczą okrywa.
Niewinnym ciężą kajdany, chwieją się mury ateńskie,
Hermes żałobny nadbiega, zgon mi na oczy mak sieje.

(Słychać pomięszane głosy ludu za i przeciw Sokratesowi).

MELETOS (wstępuje na trybunę).

Gdyby w poważne to koło wieść zaszła, że Propyleje,
Partenon, z podstaw ruszony, chyli się, pęka i chwieje,
Że się Tytany spętane z Hadesu więzów rozkuły,
Wnetby się umysł słuchaczy na powieść nastroił czuły.
Gdyby zabiegły w te mury głosy boleści i trwogi,
Że zaraźliwe powietrze trupami zaściela drogi,
Uwagę waszą wieść taka k' jednemu celu by sprzęgła:
Walczyć z potworem Tartaru. — Otóż się larwa wylęgła,
Nowy Minotaur, — baczność! — na nowe czeka Tezeje.
Powaga murów w całości, powaga bogów się chwieje;

Kapłanom troska to mała: podstawy pękną? — niech pękną!
Jeden lud, boski architekt, podpiera budowę piękną;
On zapobiega na czasie, pochyłe dźwiga kolumny,
Nad siły złego silniejszy i nad rozumne rozumny.
(oklaski)
Słuchajcie! sprawa dzisiejsza grecką najwięcej jest sprawą;
Przestępca wolny, Ateny żałobną okryje klawą;
Zniknie wesołość ludowa, która dziś igra po rynkach,
Rozmiłowana w swych bogach, w leśnych i wodnych boginkach,
Szumiąca hymny wzniosłymi za Ojcem Pozeidonem,
Po gór wierzchołkach rozpierzchła, po ciemnem państwie wód słonem;
Zamilkną greccy śpiewacy, bujną fantazyą bogaci,
Przepadnie piękna Hellada, gdy swój charakter utraci.
(oznaki uznania)
Na kim zacięża upadek, świetności dawnej utrata?
Kto mury świątyń znieważa, prastarych obrzędów stroni?
Kto się poleca Spartanom? kto sługą Lacedemonii?
Z jakiej ten szkoły, sędziowie? — Ze szkoły mistrza Sokrata!
Jakto? więc zgubna nauka za zgubę nie odpowiada?
Kto nam wystroił Krytyosa? Krytyosa i Alcybiada?
Podkopał ludu majestat, do zniewag umysł ośmielił?

Wyrosłaż bujna roślina i kwiat nam piękny wystrzelił!
Umysł ten z gruntu przewrotny, a raczej — rzecby, — szalony,
W swej hegemonii zaślepion, ateńskiej wróg hegemony,
Z mowców się ludu natrząsa, z głupia frant, snując wyniki,
Czciciel swej lichej mądrości, a jawny wróg republiki,
Z uśmiechem, wiecznym uśmiechem, co mu do twarzy przyrasta,
Dzień po dniu wiarę zachwiewa, powagę obala miasta,
I przecząc bogów godności, przed sobą kadzidła pali.
Sędziowie, sąd wasz od moru ateńskie mury ocali!
Niedola nasza rozśmiesza oblicze starością mchowe;
Na bogi kamień podnosi? — kamień mu spadnie na głowę.
Wymaga tego Ojczyzna, pełna zatargów i sporów,
Które rozsiewa orator, ludowych wróg oratorów,
Mistrz zapylonych szpargałów i w cieniu zapadłych wzorów.
Gdy wróg Spartański wstępował na nasze obronne wały,
Gdy nasze mury Pelazgów rozrzucał, które nas strzegą,
On, nauczyciel Krytyosa, rozmawiał z wrogów strategą,

Z powszechnej klęski — zważajcie — jeden wykręcił się cały.
A czemu? niechaj odpowie pyszna ta larwa, acz bosa,
Pedagog Alcybiada, mądry pedagog Krytyosa.
Za ludu krwawą zniewagę, za błędy liczne i zmowy,
Słusznie nań archont ateński w moc prawa włożył okowy.
Jeźliż go prawo dosięgnie, czy wyjdzie cało wyzwolon,
Sędziowie, wyrok okaże: mędrcem Sokrates, czy Solon?

(schodzi z trybuny wśród hucznych oklasków).

ANYTOS.

I cóż odpowiesz?

SOKRATES.

Szlachetni sędziowie,
Jest duma boska ukryta we słowie,
Która nie schodzi do walki z wichrami:
Więc będę milczał, jak ziemia przed wami.
To, com usłyszał, jak wicher przewiało,
I czuję w sobie duszę moją całą;
Demon mój milczeć każe mi roztropnie,
Więc, kto mnie kopnąć chce, niech jeszcze kopnie.

ANYTOS.

Demon?

SOKRATES.

Tak, Demon zgody i harmonii,
Posłuszny jednej wiecznej hegemonii:
Prawdzie — a jeśli czuję wyższą siłę,
Która prostuje barki te pochyłe,
Jakżebym przeczył u życia zachodu,
Opieki bogów nad losem narodu?
Nigdy ja bóstwom nie odmawiał cześci,
Ale różnica, o! wielka nas dzieli:
Wy znacie bóstwa ze starych powieści,
A mnie ich piękna obecność weseli;
Ona mi wszystkie swe odsłania wdzięki,
Gdy wy jej piękność znacie z drugiej ręki.
Wielcy bogowie! jeżeliż ofiary
Poskąpił kiedy wam Sokrates stary?
Wy, którzy ciszę niesiecie i burzę,
Służycie temu, któremu ja służę.

MELETOS.

Otóż filozof, który niegdyś bronił
Odmawiających poległym pogrzebu,
W oczach się waszych, sędziowie, odsłonił:
Oto się równa Nieśmiertelnych niebu!
Rozśmiej się, ludu, z tej pychy nadętej
I z podniesionej na twą wielkość pięty! (do ludu)
Was, Ateńczycy obecni tu, wzywa

Sąd na świadactwo: uczył ten, czy szydził?
Próżno się szatą ubóstwa okrywa! — (po chwili)
Sędziowie! cisza: lud go znienawidził! (oklaski).

PLATON (wstępuje na mownicę).

Lat pięćdziesiąt, sędziowie — darujcie zdziwieniu —
Lat pięćdziesiąt bluźnierca ukrywał się w cieniu,
I nikt go oskarzeniem nie winił o zbrodnię?
Więc przez całe półwieku nauczał swobodnie,
Szanowany od wszystkich, wielbiony od wielu,
Najuboższy... O! mistrzu mój i przyjacielu,
W niebogłosy powietrze poruszaćby krzykiem!
Apollo sprawiedliwy! ty mu bądź rzecznikiem,
Albo udziel sądzącym, niewinnych obrońca,
Ku rozeznaniu prawdy — oczów twych ze słońca!
Jeśliż prawda, jak wątła śmiertelników szata,
Szarza się i jak łachman podarty rozlata?
Ta sama, która wczora godność ludziom niosła,
Ptakom dawała skrzydła, a żeglarzom wiosła,
Płaszczem złotym ramiona okrywała dzielne,
Ściąga dziś na wybranych obelgi śmiertelne?
Mistrzu! na każde twoje wymówione słowo
Uczuwałem ja, Platon, drogę życia nową,
Nie ukwieconą drogę, skalistą i stromą,
Temu tylko, kto kocha i walczy, znajomą.
Tyś mi otworzył oczy duszy mojej spiącéj,

W obronie drugich głośny, we własnej milczący,
Tyś nas uczył piękności dłutem nie wykutéj,
Nie zamienionej pieśnią w muzykalne nuty;
Mistrzu, którego oko, w jasność patrząc śmiało,
W istocie swej wszechkształty piękności poznało.

Że się od greckich sporów o przewagę strzeże,
Jedną wolność i jedno wyznający prawo,
Jeśliż takiej Helenów najczyściejszej wierze
Zagrozi sąd ateński, sędziowie, niesławą?
Że go zdradne podarki perskie niepokoją
I rady wrogie, których płochy lud się chwyta,
Nie dziwne — pod żelazną nauczony zbroją,
Trzeźwo patrzy na zwady plemienne hoplita.
Grek to szlachetny, równie pod blachą puklerza,
Czy wypełzła od słońca odziewa go szata,
Serce równie bijące dla Aten i świata.
Sędziowie, wy bez gniewu patrzcie na Sokrata;
Przed waszym sądem staje — nie człowiek, a wieża.
Posłuszny wielkim bogom, czy bogów przymiotom,
Cześć nie danym imionom przynosi, a cnotom.
Wieży tej, w którą biły kamienie taranów,
Która równych miewała, ale nigdy panów,
Oskarzenia nie zniżą, sądy nie rozbiją.
Podobni jemu — wiedzcie! — we dwójnasób żyją,
I, co w nas trwogę budzi, i co słabość smuci,

Patrzą na prochy ciała, które czas rozrzuci;
A zgon poważnej myśli spokoju nie kłóci,
Nie miesza jej konieczna odmiana odcieni
Na wiecznych drogach życia nieśmiertelnych cieni.

Kiedy Spartanin burzył wieże tu strażnicze,
Że niewieścią żałobą nie pokrył oblicze,
Że oczu nie zasłonił zrozpaczoną dłonią, —
Uśmiech zwaćże radością, czy męża ironią?
Jeśliż spokoju szukać na posągów ciszy?
Nie — mężnym i w nieszczęściu uśmiech towarzyszy.
Murami swej przewagi lud nie zabezpiecza,
Ta na piersiach połyska i na ostrzu miecza.
Nie fortecą zwyciężył, a pogardą zgonu
Lud grecki na otwartych polach Maratonu.
Mąż z fortuny uśmiechów śmieje się niestałéj,
Nie wystąpi na mury — wystąpi na skały,
Pamiętny, że o skały niepożytej ścianę
Persy morzem się wzniosły i rozbiły w pianę.
(oklaski).

Słuchajcie! żeglującym z nad czarnych odmętów
Wydaje się Hellada wielością okrętów,
Piorunami Zeusa podarte opoki
Biorą ci za pokłady, za żagle obłoki.
O cieniu Temistokla! z twej ducha wyżyny
Tyś to pojął — świadectwem wody Salaminy.

Ateny, dziś Tartaru zalewane lawą!
Bez sternika, śród burzy rozszalałej, nawo,
Bacz, na Zeusa czole chmura jak się zbiera;
Biada ci, gdy rozumu stracisz bohatera!
Potwarzy! i któż skryte drogi twe odgadnie?
Na kogo złośliwości zimny wąż nie padnie?
Nie zaciśnie przeguby, jadem nie oślini?
Jednej tylko nicości nicość nie obwini.

O krzywdę wielkim bogom skargę, na skarżące
Obracam przed to jasne Apollina słońce;
On Sokrata nad ludzi wyniósł od ołtarza,
Skarga więc nie człowieka, a bóstwo obraża.

Obrońco Aten i sługo Pallady,
Ludu ateński! jeśliż z twojej rady
Wyrok zapadnie, jeśli w miasta bramie
Dąb cienionośny wyrok sądu złamie,
Schylony wiekiem w ojczystej posłudze?

Obywatele! mądrość waszą budzę,
Słoneczne bóstwo wzywając na świadka;
Za pokrzywdzonym stanie mądrość matka,
I z Akropolis w błyskawicach, gromach,
Przejdzie po naszych w proch lecących domach.
Nie stąd nam ciemne dni przyszłości grożą,

Morzem te płyną i lądem się wożą
Z Ekbatan...

ANYTOS (przerywając).

Do gramatyki, aż urośnie broda,
A wiek i praca powagi ci doda.
Odjąć mu słowo!

GŁOSY ARCHONTÓW.

Tak, odjąć mu słowo!
Dla niego stworzym procedurę nową,
W moc której wszystkie wyrostki domowe
Krzykami przyjdą rozbijać nam głowę,
Hetery ściągną za Platonem w ślady
Z tem, co z uczonej wyniosą biesiady.

ANYTOS.

Synu Melanta...

PLATON.

Cierpliwości chwilę!

GŁOSY Z LUDU.

Niech Platon mówi!

PLATON.

Sędziowie wybrani!
Poruszać serca najmniej się nie silę,
Ani łez nie mam ustrzelonej łani.

Gdyby Sokrates odkrył miny złota,
Wnetby mu więzień otworzono wrota,
Lecz na myśl, że nas wiąże z światów duchem,
Audytoryum wstrętnym ramion ruchem
Odeprze mowcę i milczeć mu każe.

(Poruszenie między ludem).

GŁOSY.

Dość, dość! niewinny!

INNE GŁOSY.

Złości i potwarze!

ANYTOS.

A więc zamknięte, do wotów! do wotów!

MELETOS (do Lykona).

Sokrates — zważaj — wymknąć nam się gotów.

(W tej chwili wchodzą świadkowie, — których oczekiwano, — przy odgłosie wesołych fletów; ulicznicy tańczą na przedzie sceny).

JEDEN Z ARCHONTÓW.

Straże! gdzież święty obowiązek straży?

LYKON.

Ludowi Aten i któż się poważy
Wzbronić dziecinnej swobody na chwilę?
Jeśliż w Atenach wolniejsze motyle?
Arystokracya... Ruchy tego plebu

Przypodobane Nieśmiertelnych niebu;
Imię ich Gracye. Piękny śród zabawy,
Wszechmocny, sądu gdy zasiada ławy,
Wielki, w krwi wrogów gdy miecz zemsty pławi.
Że tańczą, zdrajców ludowych ciekawi?
Niech tańczą!

(Oklaski; ulicznicy świszcząc wybiegają z sali).

MELETOS.

Przepadła lśniąca wymowa Platona,
Tragedya wielkich frazesów skończona.

ŚWIADEK.

Świadczę się bóstwem, że syn Sofroniska, —
Obżałowany, którego poznaję,
Roznosił wszystkie zgorszenia rodzaje;
Więc i zepsucie, którego nazwiska
W greckim języku do dziś dnia nie znano,
Na które wstydem oblicze się płoni,
Między młodzieżą w zbytkach rozpasaną.
A prawdę słów mych podniesieniem dłoni
Dziewięciu moich przyjaciół powtórzy.

(Świadkowie podnoszą ręce).

ANYTOS.

Dość — sąd tej sprawy nie chce słuchać dłużéj.

(Głosowanie; większa część składa wota przeciw Sokratesowi).

ANYTOS (po obliczeniu tabliczek).

Rzecz wyjaśniono całą najdowodniéj,
Wypadek głosów nie mógł więc być inny.

(do ludu)

W imieniu ludu, który dobroczynnéj,
Wielkiej Ateny mądrością się rządzi,
Areopagu sąd przestępcę sądzi,
Uznając winnym zarzuconej zbrodni,
Zgodnie z licznemi świadectwy i prawem.
Ateński ludu! przecież bądź łaskawym
I dla ilości lat i służby z młoda,
Jeśli do łaski twojej prośbę poda.

(do Sokratesa).

Chciej się ukorzyć w nieskróconej dumie
Przed ateńskiego ludu majestatem.

PLATON (oburzony).

Spokojna prawda słów tych nie rozumie,
W ciszy prowadzi rządy swe nad światem;
Jeszcze Pallada z wyżyn greckich gmachów,
I hełm miedziany i włócźń złotokońca
Na morze sieje blask boskich postrachów,
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
I szumne wichry czoła jej nie schylą.
Mądrość, to wieczność — a ludzie czem? — chwilą!...

SOKRATES.

Jeśli mi wybór zostawiacie kary,
To cóż odpowiem ja, pedagog stary?
Oto, mężowie pospolitej rzeczy,
Za moje winy, a raczej zasługi,
Niech w Prytaneum, na dni czas niedługi,
Miasto rodzinne starca zabezpieczy.
Szkoła mi piasku złotego nie znosi,
Posłanie moje przez szpary deszcz rosi;
Gdy słota ziębi, a mróz kości mrozi,
Niech mnie obdarzy szatą z skóry koziéj.

ARCHONT (z gniewem).

Wygnaniem karcim zbrodnię zasłużoną;
Wygnanie wybierz, lub krater trucizny!

SOKRATES.

Truciznę, sędzie!

PLATON.

O, losy ojczyzny!
O nocy, nocy! na twe ciemne łono
Stacza się piękny Akropol i chwieje.
O, dzieje Grecyi, smutne, straszne dzieje!

SOKRATES.

Wyrok wasz, sędzie, starca nie zastrasza,
Znać przeznaczone drogi nam odmienne;

Dla mnie noc zgonu, — dla was światła dzienne —
A co szczęśliwsze? — wiedzieć rzecz nie nasza.
W rozmowach z wiernych przyjaciół drużyną
Tartaru z lekka cień mą twarz pokryje;
Puhar za pamięć walecznych wypiję
Pod Maratonem i pod Salaminą.

(wychodzi, wyprowadzony przez służbę więzienną).

JEDEN z OBECNYCH (do Platona).

Usta, aż dotąd uśmiechu wyrazem
Skraszone, nagle zacięły się dumnie,
I stał się głazem, — jakim stanie głazem
Na granitowej przyszłości kolumnie!
Jeśli te przyszłe wieki będą zdolne
Uczcić, co wielkie, szlachetne i wolne?

PLATON.

Wyrok więc zapadł, reszta w murów cieniu
Ma się dopełnić za czasu niewiele;
Po dokonanem ślad zostanie dziele
W pamięci ludów i w Greków sumieniu.

ANYTOS (wychodząc).

Nie tobie puhar cykuty; mamy i na to sposoby.

CZĘŚĆ CZWARTA.

SCENA PIERWSZA.

(Sala w mieszkaniu hetery Charydy).

CHARIS

(do Lydyi, poprawiając włosy, ujęte w siatkę srebrzystą).

Jakże? podobam się jeszcze? mogęż mieć jeszcze nadzieję?

Co mówisz, co o mnie mówią? jakież cię głosy dochodzą?

LYDYA.

Z wdziękiem, któremu nie zrówna żadna z trzech Gracyi, układać

Nadobne członki, na łożu spoczywające z hebanu;

Rękę zaplatać we włosy, sznurami pereł ściągnięte;

Oko przychylać powieką, pojoną w czarnem kadzidle;

Stopę toczoną na stopę zakładać, oczom na podziw;

Różową farbą dotkniętym błysnąć ku słońcu paznokciem;

Rzędzik wybrańszych od pereł ząbków pokazać z uśmiechem;

Zwilżyć źrenice, gdy zechce, — zapalić ogniem, gdy zechce...

CHARIS.

Co więcej? — powiedz, co więcej?

LYDYA.

Zawstydzić Wenus Olimpu,
Kiedy wychodzi z kąpieli i w morskiem lustrze się cała
Na nieskłóconej powierzchni z wszystkimi wdzięki odbije...

CHARIS.

Cóż więcej? — powiedz, cóż więcej?

LYDYA.

Sypać harmonie uśmiechów,
I fale kształtów i giestów zmieniać, jak morskie kolory;
A kiedy feros zarzuci albo epomis do bioder,
Tkaninę z indyjskiej kozy, lub długą stollę powiewną,
Kiedy w propezach bogatych w dłoń weźmie lutnię złoconą,
Kiedy siedząca, w pałacu otwartym, śród kolumn błyśnie:
Od Ceramiku po Dypil kwiat najpiękniejszej młodzieży
Zwraca bigi bronzowe, Automedon w jej stronę
Rzeskie, o grzywach strzyżonych koniki coprędzej skręca.
Aspazyi gwiazda ze wstydu przed słońcem Charis pobladła,

Której przepychem i pieśnią i pięknem słowem któż sprosta?
Te jej ogrody czarowne, nie Kretinos, nie Agaton,
Homer by, widząc, natchniony unieśmiertelnił na wieki.
Tu mędrców, wieszczów, legistów, wszystkie spotyka wielkości
U jednej stopki maleńkiej, wspartej na cennym podnóżku.

CHARIS.

Wiesz wszystko, przyjazna Lydyo, jedno ci tylko nieznane,
Jednego tylko przymiotu znać oko twe nie postrzegło,
Jednego tylko — idź, spiesz się... (do siebie) złotego zemsty sztyletu. (Lydya wychodzi).

CHARIS (sama).

Gdzie rozkosz, wielcy bogowie? gdzie rozkosz, wielcy bogowie?
Czy w upojonem spojrzeniu młodej małżonki, gdy chóry
Chłopców i dziewcząt tańczących z wesołą odchodzą nótą,
I luby, młody małżonek pospiesznym krokiem się zbliża,
Gdy światła wszystkie pogasną i tylko lampka łożnicy
Niebieski, długi pas dymu po wonnej sali rozciąga?

Kiedy po nocy przyjaźnej nic samotności nie mięsza,
Nikt, prócz dzieciny skrzydlatej, o złotym łuku
przez ramię?
Gdzie rozkosz, wielcy bogowie? — w zwycięstwie
jednej nad drugą
W łzach opuszczonej rywalki, po brzegu morskim
błądzącej?
Gdzie rozkosz, wielcy bogowie? — Zemsta jest bo-
gów rozkoszą!

SCENA DRUGA.

(Wchodzi chór, na którego widok Charis zatrzymuje się, przybierając postawę sceniczną).

CHÓR.

Charis, pełna wdzięków pani"
Pieją Nimfy i Sylwani;
Wita Aryadnę nową
Stary Bachus z łysą głową,
A urodę twą wychwala.
Tyś natchnęła dłoń Dedala.

Wielkie sławy, wielkie boje
Zamilczają struny moje.
Chwała tobie! dawco wina,
Bywaj z nami, bożku stary!
Krąży czasza i łknie ślina;

A Fauny dmą w fujary,
Drwiąc z rycerzy, z bohatery;
Wóz pociąga dwie pantery,
A za wozem, orszak rady,
Sylwan pląsa i Menady,
Grając, piejąc z całej siły:
„Wiwat Bachus, bóg podpiły!“

Wielka sława, sława dymu,
Górą, górą pieśń Sylena!
Niema rytmu, niema rymu,
Kędy wino, tam i wena.
Podrzucają tyrsów kije,
Których kołem bluszcz się wije.
Aryadny spiewa chwałę,
Oczy wielkie, piersi białe.
Małej wagi, małej ceny,
Teby, Korynt i Ateny.
Wiwat Satyr i Syleny!

(Charis klaszcze w ręce, chór odchodzi; wchodzi Lydya).

LYDYA.

O piękna pani! czy wdzięków twych na świat dziś nie pokażesz?
Spojrzyj, ze wszystkich stron ciągną ateńskie męże i żony;

W rydwanach młodzież bogata, woźnice biczmi złotymi
Rwące trzaskaniem do pędu zachęcający rumaki.

CHARIS.

Nie mów mi o tej młodzieży, znasz obyczaje ateńskie;
Jeden za drugim tu wzroki rozmiłowane posełа;
Wychwala Faon Zenona, Zeno podziwia Faona.
Daremnie czarna Filina twarz bronzowaną uśmiecha
I długie włosy wiązane wdzięcznie plecami rozrzuca;
Daremnie biała Irena ogniami ciska dokoła;
Chyba, że jaki Megalys lub Hijafernos z Ekbatan
Cmoknie i głową potrząśnie, kręconą brodę pogładzi.
Persowie jedni umieją ocenić wdzięki Atenek.
Te w Babylonie szczęśliwsze; rządzą umysły swych panów,
Gdy w naszem mieście wciąż wełnę na grube wiją wrzeciona.
Rozkaż, niech młody Faeton z perską zatoczy uprzężą.

(Lydya wychodzi).

SCENA TRZECIA.

(Meletos wchodzi żwawo).

CHARIS

Cóż to ja widzę? wesoły, a więc komedya udana?

MELETOS.

Korony nie mam na czole, dobrych nie przynoszę wieści.
Łaskę odrzucił skazany, Charon przyprawia swą łódkę
Do cieni, kędy się w grotach Styx obrzydliwy rozlewa,
I krwią płynący Acheront wyjścia na słońce zabrania.
(po chwili)
Podziwiaż Charis artystę? Meletos pierwszym tragikiem! (słychać głosy hałaśliwe zewnątrz).

CHARIS (przerażona do siebie).

Miasto się całe oburza – „Charis tragedyi powodem“ –
Lud się jak wicher odwraca, jutro żałować go będzie;
Jak ojcobójca, na głowę żałobną zarzuci klawę,
Na mnie się morze rozszumi; wypędzą z miasta, wypędzą!
Ja się z wszystkiego oczyszczę, ofiarę z drugimi spalę.

MELETOS (do siebie).

Twarz jej tak nagle pobladła, spojrzenie błędne, krok chwiejny. (głośno)
Jakżeś zmieniona!

CHARIS.

Doprawdy? (odrzucając w tył włosy)
Jestem tak bardzo zmieniona?
Pewnie to chmurka zachodnia, cień od platanów ogrodu.

Wszakże mówiłeś sam nieraz — skargi to znane poetów —
Że moje, jak Nieśmiertelnych, nigdy się oczy nie mienią.
Złudzenie wzroku, Meletos... (nagle)
Iluż ma w mieście przyjaciół?

MELETOS

Kto?

CHARIS.

No, skazany, a któżby?

MELETOS.

Kilku waryatów z lat dawnych,
Czy — jak ich zwano — Herojów.

CHARIS.

Rodzaj znaczących zapewne?

MELETOS.

Słowo znaczenie obraża ateńską wolność ludową.
Znasz moją tragedyę, Charis? — najszlachetniejsze zmyślenie...
Wiesz, czem Ejzipid zowie poetów inwencyę? — Boginią.
W mojej zobaczą, zobaczą, co im Meletos zaśpiewa.

CHARIS.

I cóż?

MELETOS.

Gdy burzą zagrają wszystkie żądz naszych żywioły,
Gdy Oligarchów, Tyranów, Archontów nowych i panów,
Pod jedną linię podciągnę i ognia, ognia podrzucę,
Morze to z wnętrza zakipi i taką zagra tragedyę,
Która się nigdy nie skończy.

CHARIS (słodkim głosem).

Któżby uwierzył? bo serce pełne czułości...

MELETOS.

O tak! tak!
Kiedy mnie furye ogarną, — wstrząsam i bogów i ludzi;
Kiedy piękności ramiona, — stwarzam i bogów i ludzi.

CHARIS (do siebie).

Ktoby uwierzył, sztukmistrzu? Eolska harfa powietrzna,
Po której wichry przechodzą i miękkie wiosen powiewy? (nagle zmieniając ton)
Ty jesteś w mieście potęgą, ty wstrząsasz ateńskim ludem.
Zwołaj coprędzej, o zwołaj obywateli szlachetnych!
Niech się tej śmierci sprzeciwią.

MELETOS (spokojnie).

Inny my sposób znajdziemy. — Jeśli dziś okręt nie przyjdzie,
Przemocą starca wykradniem, do Eubei przewieziem, —
A zechce wracać? uwięzim, byle uniknąć hałasu.

CHARIS (rzucając mu się w ramiona).

Geniusz na czole całuje gwiazdę, co na niem połyska;
Jakie ty piękne masz włosy! jakie olimpijskie giesta!

MELETOS.

Tak, sługa twego natchnienia, Meletos dokonał dzieła,
A imię moje po każdym Zeusa ozwie się błysku.
Świętym ja ogniem uniesion, ateńskie zebrał oklaski...

SCENA CZWARTA.

LYDYA (wchodząc spiesznie).

O Charis! wielka nowina, płacz się rozlega po mieście...

CHARIS.

Mów prędko!

LYDYA.

Mówią, że spełnił truciznę.
(milczenie; po pauzie).

CHARIS.

A ja mówiłam. — Niegodni! o wy potwarce ge-
A ja mówiłam!... [nialni!

MELETOS (do wchodzącego Asterofeja).

Skończone, komedya twoja przepadła, —
I niewiadomo, jak prędko lud do teatru zawita.

ASTEROFEJOS.

Ha, będę pisał dla Sparty, Spartanie wieńców nawiją.

MELETOS (do Lydyi).

I cóż lud mówi na mieście?

LYDYA.

Melecie, naród powiada,
Że, gdy śmierć w czasie dojrzeje, zada ją komar
lecący.

ASTEROFEJOS.

Trochę to ceny ujmuje genialnej skardze Meleta.

CHARIS (do Lydyi).

Faeton jestże gotowy? pogodną twarz mieć należy.
Podaj mi perską zasłonę, ponarzucaną gwiazdami.

(Słychać grzmoty, błyskawica oświeca salę).

ASTEROFEJOS (biorąc puhar do ręki).

Nie czas podziwiać Apolla: oto fletniści, spłoszeni
Burzą z nad morza ciągnącą, do twoich garną się
progów;

Jest i nadobna Eglae, co w pośród mieczów wykręca;
Niechże nam piękny wiek złoty, Hesioda chłopską szczęśliwość
Przypomni fletniarz we skórze, mleka zapachem przesiąkłej.
Krótkie jest życie, Charydo; głupi, kto zeń nie korzysta (postępuje naprzód i przywołuje muzykantów).

CHARIS.

Krótkie jest życie zaiste; śmiercią je zowie poeta.
(po chwili)
Ręce mi drżą, nie wiem czemu? — i strach po piersiach się włóczy.
Lękać się? czego? zabawne! (chwyta się za twarz)
Coś mnie po twarzy uderza —
Ach! ja niewinna! to oni! cienie się włóczą przed wzrokiem... (do Meletosa w furyi)
A ja mówiłam, potwarco! ach, jakąż spełniłeś zbrodnię!
Jeśli za śmierć Klitemnestry furye ścigały Oresta,
Za Sokratesa — nie widzisz? — widząc, czy nie oszalejesz? —
Patrz, jakie skręcają bicze, z wężów Hadesu plecione;
Gorgona leci, Meduza, żar tchnące otwiera wargi;
Cienie przed tobą, za tobą; ratunku nie krzycz, nie wzywaj!

Z wieków tysiąca głos jeden ratunku się nie podniesie;
Przekleństwo wieków za tobą, na twych się wiesza ramionach, —
Co słowo ludzkie, to harpia upada, w ciało się wpija, —
Ogniami lecą te słowa, palą, i iskier nie widać.

MELETOS (przerażony).

Bogi! szaleje Charyda, i ja sam chwiać się zaczynam.

CHARIS (wesoło).

A co, czym nieźle zagrała? co mówisz, wielki Meletos?
Mogęż wystąpić w tragedyi? publiczność sypnież oklaski?
Głupstwo tragedya udana, przesadne krzyki poetów:
W rzeczywistości inaczej, spokojniej rzecz się odbywa,
Uśmiech pokrywa wrażenia. (do Lydyi)
Faeton jestże gotowy?

ASTEROFEJOS.

Wielką jest Charis artystką, najpierwszą między histryony;
Eschylos by za podobną do Babilonu popłynął.

CHARIS.

Podaj mi rękę, Meletos; wesoło, tylko wesoło!
(śmieje się i klaszcze)
Szmer słyszę, burza napędza zerwane liście platanów;

Hej! wina! hej przyjaciele! — o Afrodyte łaskawa!
Perskie i ateńskie bogi! muzyki! muzyki jońskiej!

(Fletniarze zaczynają dąć we flety).

MELETOS.

Nie myśleć! cała w tem sztuka; Asterofejos niech powie,
Któremu bogu zaśpiewać, który od myśli uwalnia.

ASTEROFEJOS.

Odgadłeś moje natchnienie; na cześć Bachusa!

MELETOS.

Chaosu!
Za Dyonizem opojem niech się świat stary obraca;
Nam nowym nowe niech bóstwa wzruszają struny złocone.

ASTEROFEJOS.

„Nowy Minotaur — baczność! — na nowe czeka Tezeje,
Powaga murów w całości, powaga bogów się chwieje!“

MELETOS.

Ktoby się o nią rozbijał?

ASTEROFEJOS.

Meletos, wielki poeta.

MELETOS (uderzając w palce).

Wierzę? nie wierzę? nie wierzę... ale mi służą
w mej sztuce,
Jak ornamenta.

ASTEROFEJOS.

A miastu?

MELETOS.

Jak sen pijanym, po którym ludu wytrzeźwią się
głowy,
Z rankiem wracają do noży i nową podnoszą walkę,
W której zwycięstwo Chaosu, albo cowięcej: Nicości!

ASTEROFEJOS.

Pozwólcie, powiem wam bajkę. (do siebie)
Prawda, co człowiek, to podłość.
Z pod złotej beczki, z pod czopa,
Przypowieść ojca Ezopa: (śpiewa)
Siła w dziejach niepojęta,
Pracując z czasem bez przerwy,
Co najpiękniejsze, najpierwéj
Na świat wydała zwierzęta.
Wichry ujęła szalone,
I z nich ptactwu dała życie,
Dalej wody słodkie, słone,
I wnet ryby w wód błękicie,
Opatrzone łuską, skrzelą,

*

Złocą się, czerwienią, bielą.
Lwa z najczyściejszego złota,
Węże z ciemności Erebu,
Wreszcie ku czci swemu niebu
Żabę i człowieka — z błota.
I cóż dalej? bieda oto:
Ptakom państwem górne szczyty,
Rybom czystych wód błękity,
Gdy człowiek przerabia błoto;
A składa się ze trzech stanów:
Pysznych, głupców i gałganów.

MELETOS.

Nie drwisz ty czasem, komiku?

ASTEROPEJOS.

Alboż to do nas rzeczono?
My tu, Melecie, my wszyscy, mniejsi czy więksi bogowie. (do siebie)
Jam nie chciał śmierci Sokrata.

MELETOS (przyjmując puhar z rąk niewolnika).

Nim proch się rozprószy,
Hej! cienie, do jazdy!
Zapijmy puharem rozkoszy,
Puhary rozbijmy o gwiazdy!

Precz! maro łudząca, obrzydła;
Gdy płomień błyskawic twarz krasi,
O nocy! dłoń której dzień gasi,
Szerokie uczuwam twe skrzydła.

Na pląsy, na ryki, na tany,
Podnieśmy pieśń wściekłą Chaosu,
Ponurą, jak umysł pijany.
O nocy! dodawaj mi głosu!

Za nami gwiazd trwożne się czoła
Ostatnie zwracają w przestrzeni,
Mrok w górze i w dole, dokoła
Świat prawdy, nicości i cieni.

O świecie! dość tego porządku!
Dość twoich barw, mglisty błękicie!
Początek? my drwimy z początku;
A życie? my wiemy, czem życie.

Dalej! Demony szaleńce!
Pędźmy na ostatnie końce!
Nicość podaje nam wieńce;
Nocy i burzo! na słońce!

Zatańczmy na grobie natury,
Nad przędzą starganą losu;

Pioruny! chmury! na chmury!
Chaosu nam trzeba, Chaosu!

Gdy Fatum i rządzi i włada,
Zakończmy wraz śmiechu wiwatem;
Na puhar mój piorun niech spada,
Jeśli jest Fatum nad światem!

Ho! lecą już bóstwa! już w pyle
Po światów się miecą skorupach,
Już w cieniach, już w wiecznej mgły słupach,
Jowiszem z nas każdy na chwilę.

Pobłyska mój puhar złocony,
A krople bezpiecznie weń płyną.
Charydo! w otwarte ramiony!
Evoe, nam rozkosz i wino!

CHARIS (jak oszołomiona).

Evoe, wielki poeto! do mnie tu! wielki poeto!
Wina! niech huczą pioruny, niech ziemia trzęsie się z wnętrza!
Z pieczar Plutona czerwonych, o Semiramis potężna!
Rodope! Fryne! do tańca! ogień mi pięty podrywa!

(Charis, Meletos, Asterofejos, każde z osobna, poczynają taniec mimiczny przy odgłosie fletów; słychać gromy, błyskawice oświecają salę, piorun uderza jeden po drugim. Charis i Aristofejos pierzchają, Meletos rzuca się do stóp posągu Jowisza).

MELETOS.

Apollo! Dyonizos! Wenera! Ceres! Pallada!
Pluton! Pozejdon! Hefaist! — wielcy bogowie, potężni!
Szum piany morskiej na brzegu, szaleństwo wichrów po lasach,
Jeśliż was, wielcy bogowie, na wysokościach poruszą?
(nowy grzmot)
Ach! ach! (chwila spokoju)

JEDEN Z FLETNIARZY.

I takiż to z ciebie Jowisz? wstań, bożku, burza przegrzmiała.

CZĘŚĆ PIĄTA.

SCENA PIERWSZA.

(U wejścia do więzienia Sokratesa).

KRYTON (wchodząc, do siebie)

Szlachetne serce! i któżby pomyślał?
Hetera Charis, płocha zalotnica,
Dwieście min złota ofiaruje straży,
Jeśli więźniowi ułatwi ucieczkę.
Ktoby pomyślał? takto niedojrzana
Iskra się boska tam często ukrywa,
Kędy jej szukać nie zda się śmiertelnym.

Kiedym jej oczy ujrzał w łez powodzi,
Kolana zgięte do błagalnych modłów,
Rzekłem sam w sobie: miałażby w Atenach
Jedna Hetera mieć serce szlachetne?
Przyniosła perły, amfory i złoto
Na ołtarz bóstwa...

SOKRATES (wchodząc).

Kryton! o witaj! przychodzisz w pogodę,
Radość odczuwa tkliwe serce młode;
Szczęście — posłuchaj: tu, przy tym kamieniu,
Nim Aurora swe palce różane
Na ciemną więzień obróciła ścianę,
Naraz ujrzałem jasną postać w cieniu,
Która — o dziwo — blasku swej natury
Nie rozdzielała na wilgotne mury;
Jedna z trzech Gracyi, którąm śnił za młodu,
Nim snycerskiego zrzekłem się zawodu.
Bo i któż piękność godnie przyoblecze?
Gdzie jaki Fidyasz?... Patrząc w nią łza ciecze,
I słyszę głos jej, słowa a muzyka:
„Zdala od więzów i więzień i wrogów
Deptać Tessalską będziesz ziemię bogów
Jutro“... i cisza, — widzenie zanika,
A spokój, spokój w duszy się rozściela
Niezaznanego przez życie wesela.

KRYTON.

O przyjacielu! niemylne nadzieje,
Świat opiekuńczy w cienie więzień wieje;
Pięciuset wolnych, z odwagą gotową,
Na jedno czeka Sokratesa słowo.
Jutro więc cienie porzucisz wilgotne...

SOKRATES

Złym, o Krytonie, jesteś mi tłómaczem:
Walka? Ateny napełnione płaczem?
I o co? o te nędzne dni przelotne?
Jeśli Sokrates znieważy moc prawa,
Jakaż mu z tego i korzyść i sława?
Dosyć tych wojen; mocniejszą nauka;
Miasto po czasie myśli mej poszuka;
Zwycięstwo pewne bez walki mi przyzna
Czas pracowity i Greków ojczyzna.
O! nigdy, nigdy zwycięzcą nad swymi!
Czemużeś łzami zalan szlachetnémi?
Czy za przeszłością? — nikt jej nie powróci —
Czy za przyszłością? — któż się nad tą smuci?
Za pierwszą patrzym, spieszący ku drugiéj;
A chwila życia ta małej zasługi,
Na białych kolumn grobowych wytrwałość
Rzuca prawdziwą czy zmyślną żałość.

SCENA DRUGA.

(Wchodzą Xenokrat, Fedon i Platon).

KRYTON.

Nie mógłżeś lżejszym, niż śmierci wyborem,
Cicho odpłynąć Temistokla wzorem?

SOKRATES.

Jeśliż ci wyrok nie znany, Krytonie?
Różnicy jeśliż nie rozważasz kary?
Temistoklesa w oddalonej stronie,
Tego nad wszystkich męża wielkiej miary,
Nie pozbawiło cześci oddalenie;
On w jasność odszedł, ja odszedłbym w cienie;
On oddalony przeto, że za wiele
Wypełniał miejsca wśród ateńskich murów;
Temistoklesa współobywatele,
Spłoszeni dziwną ilością laurów,
Wielbią tajemnie, choć się przed nim chronią,
Dzisiaj wypędzą, jutro się pokłonią.
Inaczej zemną; jako syn wyrodny
Wyrzucon, ziemi ojczystej niegodny;
Słusznie? niesłusznie? w to ja tu nie wchodzę —
Po jakiejż, nędzny, powlokę się drodze?
Powiesz: świat cały ojczyzną człowieka?
Nieprawda, na to długo świat poczeka.
Pomyśl o przyszłej odmianie szczęśliwej,

A prostakowi nie radź drogi krzywej.
Na wojnie życia, towarzyszu miły,
Dowódcy siła zdwaja wojska siły;
To, co mej duszy do ostatka strzegło,
Zdrowie mi dało i myśl niepodległą.
Nie! starej cnoty Sokrates nie wyda.
Pomnij na piękne zejście Palamida,
A z jakim spełnił spokojem cykutę,
I nastrój myśli na weselszą nutę.
Jakąż to wreszcie dotknięto mnie karą?
Kamienowano mnie głupiemi słowy,
Śmiechem, potwarzą, płytkiemi obmowy,
I wreszcie, wreszcie czem? — trucizny czarą.
Ależ ta w porę z pomocą przybywa,
Spokojnie, cicho płyn jej w usta wpływa.
Eskulapowi, twórcy wynalazku,
Wartoby ptaka poświęcić w ofierze,
Który, w barwiste uderzając pierze,
Po przejściu nocy zawieszcza świt blasku.
Nie bądźże czułym zbytnio na ból ciała;
Xenokrat! słuchaj: cykuta rzecz mała.

FEDON.

Życie człowieka? to życie katuszy!
A po niem fale Acherontu czarne.
Praca i nędza — i wszystko na marne?

SOKRATES.

Jeśliż nie wierzysz w nieśmiertelność duszy?
Jak w ciągu życia, po zejściu tak samo:
Czyściejsze słońce za więzienną bramą.
Duch, ogień wieczny, z swej natury prawa
Odbiega ziemi, gdy ziemię oddawa.
Że niewidzialny? a cóż tu widoczne,
Co rządzi, tworzy i kształty odmienia?
Myśl ta za mała — sięgnijmy do rdzenia,
W te światy jasne, choć dla oka mroczne.
Z wiecznych przeznaczeń uwięziona Psyche
Snuje burzliwe światy, światy ciche,
A ludzie, ludzie, idąc pod jej pieczą,
Pełnią rozkazy, a dowódcy przeczą!

Poczcijmy bóstwa dobroczynne prawo:
Nie masz więc słońca za więzienną bramą,
Bo miećby trzeba źrenicę wciąż łzawą,
Gdyby obawie rozum nie był tamą,
I ta odwaga, która członki wspiera,
I ta potęga, która nie umiera.
Życie w Atenach, o, jakże dziś miłe!
W których nie rządzi nikt i nikt nie słucha,
Gdzie prawo władzy utraciło siłę,
Swobodny zbrodniarz śmiało w oczy dmucha.
Jażbym na taką wstępować miał drogę?

Prawo społeczność utwierdza — nie mogę!
Głuchnę, bo głuchnie prawda śród hałasu,
Ginę, bo ginie każdy mąż z przed czasu:
Idea boska wiecznie — w łzach się pławi,
I świeci, świeci wciąż rozpromieniona.
Złudzenie — sądzisz — Sokratesa bawi?
Tak też i myśli moja biedna żona.
Pamiętaj o niej, pomów z Xenofontem!
A obdarujcie starą cichym kątem,
Drzewem na ogień, może krową dojną;
Jej tego trzeba, więc będzie spokojną.

O ziemio moja, na której mi dano
Przejść wielką szkołę, światła widzieć boże,
Czyliż zostawię cię niepożegnaną,
Jako podróżny odpoczynku łoże?
Błogosławiona bądź, Matko Hellado!
Człowiek cię żegna bez żalu do ludzi;
Trucizna ciało, nie ducha, ostudzi: (do Platona)
O nie płacz, proszę; gdy zmarłego kładą
Na zimny kamień lub na stosie drzewa.
Jeśliż kto mówi, że to pogrzeb ducha?
Nie! — Jest coś w głębi, co nam wieczność śpiewa,
Ale nie każdy głosu tego słucha.
Luby Krytonie, ty wiesz, czem świat wieje,
Czego w Pandory szukać puszcze próżnej?

W tej złotej puszce człowiek, cień podróżny,
Szczęścia nie znajdzie, lecz znajdzie nadzieję.
Tu, na tym placu, kędy lud się schadza,
Czas na rozmowach upływał mi błogo,
Kiedy Dajmona niepojęta władza
Iść mi kazała prostą życia drogą
I ubogiemu prawić o odkryciach
Na oceanie mądrości wszechświata,
O górnych sprawach i o drugich życiach,
Za lutnię biorąc biedną pierś Sokrata.
Tu moje gniazdo; tu mój proch zostanie;
Wyrokom Matki ja się nie sprzeciwię;
Czy sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie,
Śmierć łagodniejsza dla mnie, niż wygnanie.

SCENA TRZECIA.

STRAŻNIK (wchodząc, do Krytona).

Bramy otwarte, droga niedaleka;
Na Sokratesa łódź z pomocą czeka,
Ziarnko po ziarnku z klepsydry wycieka,
Pobladło niebo i zachód się zbliża.
Spojrz: punkcik biały wznosi się, to zniża
Na horyzoncie.

KRYTON.

Widzę tam na kresie
Okręt od Delfów i wiem, co nam niesie.

STRAŻNIK.

Nie traćmy czasu. — Cóż cię tak zasmuca?
Sokrates pomoc przyjmuje?

KRYTON.

Odrzuca!

SOKRATES (do strażnika).

Przypraw cykutę, dodaj akonitu;
Krater niech będzie czysty, jak stal kasku!

(strażnik wychodzi)

Okręt mój płynie do nowego świtu,
Z zachodnich blasków pożyczając blasku..
O! prędzej, prędzej, pożądana łodzi!
Szczęsny, kto wchodzi, — szczęsny, kto odchodzi,
Na kim spokoju skrzydło odpoczęło;
Życie jest dziełem, lecz śmierć arcydziełо;
Ona to bowiem rozdziera zasłonę,
I, co skończone, zmienia w nieskończone.

(Strażnik powraca z czarą, nakrytą czarnem suknem).

Iluż niewinnych usta tyś dotknęła,
Czaro cykuty, na wiecznej przeprawie!

Imiona? imion pamięć zaginęła;
Skrzydła ich niosły orle, czy żórawie,
Dość, że przecięły czas i przestrzeń w biegu.

(biorąc czarę)

Spojrzcie, jakiemi rzeźby na swym brzegu
Odchodzącego żegna miedź czerwona:
Nestor, Achilles, piękna Antygona,
A wyżej, wyżej — te, co rany goją,
Krople trucizny w krąg perłami stoją.
Czemuż się oczy wasze łzami roszą?

(do Platona)

Kończyć tak, luby, nie jestże rozkoszą?
Oddalcie z serca i z ócz próżne smutki;
Niech na ramionach niepodległej młodzi
Zejdę oparty, jak podróżny schodzi
Do niecierpliwej z białym żaglem łodzi.
Nowa przedemną wybiela się zorza,
Szczytów Olimpu dotknę, jak podnóża,
Apolla lekki złoty wóz potrącę,
Szczęsny — Godziny poniosą tańczące,
Nadobne panie, których powab nęci,
A ślady krwawe zostają w pamięci.

Ateny moje! Tezeja świątynio!
Kefizu wstęgo, wśród głazów ciągnąca!
Ojczyzny — słowa starca nie obwinią,

Że mu zasłania blask dziennego słońca,
Inne on słońce niegasnące spotka —

(wychyla czarę)

Trucizno z ręki Matki! — jakżeś słodka!

(Strażnik odbiera puhar; Sokrates, wsparty na ramieniu Platona, w towarzystwie płaczących uczni, schodzi do niższych więzień).

SCENA CZWARTA.

XANTYPPA *(okryta czarnem płótnem, wchodząc).*

Niestetyż mnie! ach! niestety! i któż mnie teraz opatrzy?
Kto poratuje w chorobie? kto się o strawę zatroska?
I za co, za co umiera ubogi ten człowieczyna?
I taki cichy, potulny...

(słysząc głosy żałobne, schodzi szybko w dolne więzienia).

Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Radomiu.

Biblioteka
w Radomiu
Liceum Pedagogicznego

Spis rzeczy

w tomie II. zawartych.

Część I.

Ostatnia Lirenka.

	Stronica
Jagoda	1
A pamiętasz?	60
Czajka	67
Maciek	70
Pustota	74
Prawdziwa sierota	77
Morowy	80
Odstawny	82
Wdowa	84
Rozmowa chłopa z uczonym	85
Dwie zorze	86
Trzy piosnki Padury	88
Zaproszenie	92
Z kalety dziada, Gadanie ptasie	95
Do poezyi	98
Sen	103
Indulgencya	105
Powołanie	107
Ewa	111
Trzy kamienie	114
Na wierzbę	117
Moja srebrna złota	121
Przypomnij	123

Stronica

Za kwiaty z ojczyzny . . . 125
Zwiędła róża 128
Na wigilią 135
Przyjacielowi W. D. 137
Powracającej do kraju Pannie A. M. 141
Hej Boże! 144
Nad grobem Ed. Wasilewskiego 150
Bohdanowi Zaleskiemu na jubileusz 153
Chłopek za pogrzebem Tad. Żulińskiego 159
Na obchód pamięci Z. Krasińskiego 164
Prośba 166
Ostatnie słowo 170

Część II.

Sędziowie Ateńscy 171

Biblioteka Państwowa
w Radomiu.
Liceum Pedagogicznego

WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
64264
L-P
Biblioteka WSP Kielce
0225437